CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

NUMER 31 (88) — KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 3 SIERPNIA 1947 ROKU — ROK III



WOJCIECH ŻUKROWSKI

PIEŚŃ o NARODZIE

WARTO przełamać nieufność do Gołubiewa wywołaną rozmiarami dzieła i archaizacją, sięgnąć po ogromne tomiska i zacząć czytać. Resztę pojmiecie łatwo sami. Miał słuszność Dobraczyński nazywając tę epopeję o Bolesławie Chrobrym — księgą wielkości. Porywa burzliwy nurt narracji, wstają przed nami krajobrazy puszczańskie, olbrzymi prości, gwałtowni mocują się, dźwignięci nienawiścią i żądzą władzy. Oto ukażą się nam losy księstwa, mimo okrutnej bliskości, oglądane z wysoka, jakby z lotu jastrzębia ważącego się nad polami, gdzie dymią osady przebudzonego narodu.

Bo zrastający się naród jest bohaterem, nie Chrobry jak oznajmia karta tytułowa, ani św. Wojciech. Bezimienna masa wolnych kmieci, rycerzy i osadników, wdzierających się na nowizny — naród w chwili przełomu, który na zawsze dzieje nasze skuje z Zachodem.

Chrobry, św. Wojciech stają się epizodami w historii poruszonych rewolucją mas; przywódcy, jednostki władcze i wybitne przenaglają jedynie nowy czas, wielką przemianą. Już za mała jest wspólnota rodowa i gromadzka, już i księstwo, o rozmiarach trudnych do ogarnięcia nie wystarcza, wobec przejmującego lękiem, imperium wielkiego jak świat, którym włada jeden Cesarz i jeden Pasterz. Chrześcijaństwo zakłóca wegetatywny spokój samotniczego bytowania, musi obudzić w sercach łowców, rybaków i siewców zrozumiałą niechęć i nienawiść. Świat przestaje być znany i bezpieczny, przed każdym staje konieczność ostatecznego wyboru. Nowy Bóg sięga wszędzie. — Albo staniecie przy mnie, grozi, albo przepadniecie i zdepcze was żelazna stopa fanatycznego średniowiecza.

Jak w każdej rewolucji jednostki skłócone z gromadą, silne i niecierpliwe, odgadujące trafnie rytm idących czasów, pierwsze stają pod nowym znakiem. Potem i te podławe, a sprytne, które już zwęszyły dobrobyt i obfitość. Tylko starzy, zdrewniali we wierzeniach i słabi wzdrygają się przed nowym życiem, skazują się na butwienie wraz z całą pogańską przeszłością.

Ale od minionego odciąć się bezkarnie nie można. Zbyt wiele serdecznych nici łączy każdego z przeszłością. Więc trzeba przeszłość ochrzcić i co się da z niej zawlec na nowy brzeg. Rewolucja jakiej dokonuje chrześcijaństwo porusza oporne masy, porywa i wlecze. Przemiana się dokonuje w nich niespodziawanie. Jeszcze z nawyku odgrażają się przeciw nowemu Bogu, a On już jest w nich, już ich posiadł. Ręce, które musiały chwycić się nowych prac, upuściły przeszłość. Niespodziewanie w zetknięciu z pogańskimi Prusami, pojmują że już są inni, czują się związani nową wiarą i nadrzędną solidarnością, jaką dała pewność trafnego wyboru drogi. Nowe zwyciężyło.

Kim jest Bolesław i św. Wojciech? Ludzie wybitni, uparci, ale przede wszystkim ludzie. Towarzysze nad nimi często górują siłą, zręcznością, sprytem, a jednak właśnie ci dwaj pochwyciwszy rytm epoki przenaglają przemianą. Nie tylko niebo do gwałtowników należy, ale i ziemia. Obaj przewódcy ziemski i niebieski nie ograniają świata, ale mocując się z nim, poznają siebie i nieomylność swego powołania. Każdy z nich stwarzając siebie, na swój obraz ugniata im gęstwę człowieczą. Lud dziedziczy po nich rysy trwalsze niż potomstwo po rodzicach.

Gołubiew wodzi nas od jednego do drugiego bohatera, ukazuje nam cały tłum. Każdy z tych głupich, bydlęco silnych chłopów chce swego szczęścia sięgnąć gwałtem, tak jak na chwiejnych łodziach stawiali drabiny, szturmując palisadę Jomsborga. Jeżeli szczęścia nie znajdą, to przynajmniej żyją szeroko i bujnie. W tym borykaniu się z nowym życiem czują najpełniej swoją moc. Wszystko co dla siebie posiąść mogą jest plewą, tylko to co dźwiga gromadę zostanie trwałe.

Kapitalna jest scena gdy Bolesław z dumą oświadcza wysłannikowi Cesarza, że księstwo dzierży w garści. Równocześnie ukazuje nam Gołubiew rojowisko ciał zwierających się w walce, w łowach, w miłości. Łanię pokrywaną przez jelenia, rysia ze zbroczonym pyskiem, odwracanie skiby i rój pszczeli, z którego wypryska królowa. Truteń ją ściga. Łączą się. Królowa zaczerwi plastry miodu. Wyroją się robotnice, będą zbierać miód i wypacać wosk. Woskowe świece będą się jarzyły na chwałę, lub przy truchle Bolesława. Widzimy całkowitą niemożność zamknięcia w garści tego kłębowiska lgnącego ku sobie w miłości i rozsadzanego nienawiścią.

Pełne pesymizmu, nieledwie antyhumanistycznego fatalizmu są wróżby Gołubiewa, samotnemu człowiekowi zostaje jedynie nieustanne próbowanie siebie we władaniu światem, walka o prawa. Natomiast rozbrzmiewają karty epopei pochwałą masy, tłumu, tych malutkich naśladowców, którzy postępują urzeczeni za wodzem ziemskim i duchowym, którzy ich przekroczą i pochłoną.

Tak jak niezauważamy kołysania jednego listka na drzewie, tak przechodzimy ponad bólem i radością jednostki. Pozostaje nam jedynie w pamięci natężony szum drzewa jakim jest naród. Losy jego w chwili wielkiego przełomu są nam narzucone obrazami o urzekającej sile.

Z mrowiącego się tłumu wyłuskuje Gołubiew kolejnych bohaterów, w filmowym zbliżeniu widzimy twarze jaśniejące triumfem, to wykrzywione grymasem cierpienia, lub żądzy. W scenach tych podprowadza przeciwników ku sobie, dociąga do dramatycznego spięcia. Już dialog staje się niepotrzebny, mówią monosylabami, parskają, zderzając się.

Jest w tym wszystkim **umowny realizm,** który nazwałbym **mitologizującym.** Wszystko od drzew począwszy a na ludziach skończywszy pojawia się w jakichś gigantycznych formach, w gęstwie, w tłumie, w ryku. Siła bije z masy, splątanych drzew i zwierza. Obojętnym się staje czy brzozy okrywają się liściem wraz z dębami, czy miot zajęcy i jeleni jest w jednym czasie, więc obiektywne prawa realizmu ulegają pogwałceniu. Gołubiew rzuca nas w jakiś ogromny zwierzyniec, pękający od biologicznych sił, napchany zwycięską mocą. Ilość jest jej wykładnikiem.

Tak jak Bolesław nie ogarniał swego włodarstwa, tak i my nie zapamiętamy powikłanych losów tłumu bohaterów. Wyławiamy ich raz po raz by znowu utracić. Chłoniemy wyrzucone z wściekłością epizody. Tkanina fabularna jest za gęsta, za żywa, zbyt mieniąca. Gołubiew jakby w lęku, że może coś pominąć wypełnia każdy kawałek olbrzymiego płótna. Z jednakową pasją rysuje pszczołę zczepioną z trutniem, jak i tłum napierający na Jomsborg. Nie ma spraw mniej i więcej godnych uwagi. Nie ma selekcji i półtonów — jest walące się na nas lawiną, wspaniałe, pulsujące, ale i mityczne życie. Gwałtowności tego potoku można tylko ulegać.

Tracąc szczegóły, tym mocniej pojmujemy siłę masy, biologiczny optymizm bije z tego rozkołysanego nową ideą narodu.

Język Gołubiewa wymagałby osobnego studium. Archaizacja została umiejętnie przestylizowana z polszczyzny szestnastowiecznej, ograniczona do kilkudziesięciu słów, które łatwo sobie przyswajamy, tak, że nie utrudnia to nam pochłaniania wydarzeń, dajemy się ponosić porywistemu nurtowi epickiej narracji.

Zawsze w momentach kryzysów społecznych sięgano w przeszłość, ku korzeniom. Niemcy hitlerowskie, montując siły do podboju Europy odgrzebały pogańską przeszłość plemion germańskich, Rosja walcząc z nimi przywołała twórcę państwa, samodzierżcę cara Piotra Wielkiego, nawet Amerykanie przypomnieli w mitotwórczej tęsknocie walki o niepodległość, czasy osadnicze. Wystarczy wyliczyć nawpółsensacyjnie, o nakładach olbrzymich epopeje osadnicze Robertsa. W czasie wojny u nas po czasy Bolesława sięgnęło aż trzech pisarzy — Bunsch, Grabski i Gołubiew. Jeśli pierwszy nie wyłamał się tradycyjnych konwencji, jeśli nad drugim zaciążyła wiedza historyczna, to Gołubiewowi udało się w fantastycznej wizji ukazać dzieje niezwykłego przełomu, odkryć przed nami tajemnice kryzysu, z którego wyszliśmy zwycięsko.

Dlaczego nas książka Gołubiewa tak porusza? Dlaczego współczujemy z borykającymi się bohaterami epopei, co nas z nimi łączy tak mocno? Intuicyjnie udało się Gołubiewowi odkryć mechanizm wielkiej przemiany. Wstrząsem, który zachwiał tamtym światem, prócz chrześcijaństwa pojmowanego prostacko i zabobonnie, było załamanie tradycyjnych form gromadzkich i rodowych. To co nami zakołysało, to właśnie walenie się wyższych form ustrojowych, kryzys państwa narodowego. Mimo pozorów granice przestały istnieć, świat ekonomicznie i politycznie się zrasta, stajemy się jednym wielkim organizmem.

Dlatego rozumiemy trwogę tamtych sprzed tysiąclecia. Brakuje nam bezpiecznych ścian. Dziś i my jak tamci sprzed tysiąclecia, pragniemy ratować przeszłość. Jak ongiś w nich tak i w nas niepostrzeżenie dokonała się rewolucja. Właściwie nie jest już ważnym kto ma władzę, wiadomo że sięgną po nią gwałtownicy. To już tylko sprawa drogi — mniej, lub bardziej bolesnej, którą potoczy się przemiana. Twierdzić, że włada się narodem jest pychą i złudą. Widzieliśmy przemijanie wielkości, pamiętamy place w ciągu kilku lat przechrzczone tylekrotnie. Nie władcy z dnia dzisiejszego są godni pamięci, tylko przemiana, poruszenie mas, gigantyczne przetasowanie, które już się dokonało. Choć nie jesteśmy jeszcze pogodzeni, zyskujemy świadomość przewrotu dopiero w zetknięciu z „nieprzejednanymi", z zastygłą przeszłością emigracji. Wtedy okazuje się, że nie ma między nami wspólnego języka, że z tym, co wokół często wbrew nam, się dzieje, łączy nas zastanawiająca solidarność. Myśmy już dokonali wyboru — idziemy z narodem.

Z „nowym" jeszcze będziemy się nieraz mocować. Indywidualnie możemy ponieść klęskę, ale nie ulegnie naród. Przywódcy wstają i upadają, tłum wznosi się wstępując na ich ciała. Tę optymistyczną prawdę wyłowioną z biologii narodu podsuwa nam mimowolnie Gołubiew, ukazując gigantyczne zapasy w półmroku borów. Przeszłość każe zaufać przyszłości. Epopea kreślona z furią i uderzającą śmiałością jest dziełem, które możemy zaliczyć w poczet krzepiących książek o nieprzemijającej wartości.

Epopea Gołubiewa to pieśń o mocy narodu, a zarazem pieśń, której nutą jest każdy z nas. Coraz trudniej będzie nam głosy własne wyodrębnić, bo ta pieśń potężnieje.

Wojciech Żukrowski

MARIA PUJMANOVA

Do widzenia

Ten sam wiatr rozczochrał nasze włosy,
z Bogiem druhowie spod gór i od morza,
obłoki bochen na jutro już kwaszą
w ulu gwiazd nowe fatum dojrzewa.
Kują druhowie stal, kują białą
druhowie moi ze śląskiej Ruhry,
płakałam z wami nad waszą Warszawą
sadza i deszcz przylgnęły do róży.
Cóż róże wonne nie wskrzeszą jej
cóż łza, łza wysycha,
siekierę dajcież, będzie weselej
wszystkie jaszczurcze języki truchleją
pada Judaszowa osika.
Wyrwiem ją bracia od korzeni
zasypiem ziemią z Oświęcimia,
wszak dzwonów śmierci z nami słuchali
martwi — oni zaświadczą wszyscy oni.
Gdy ożyli rozwarli oczy
gdyby znów dzieci przywdziały kierpce,
puklami włosów śnić dał w rozterce
gdyby popioły wylazły z pieców,
Łazarz na marach z martwych by powstał
osiki syczą niebezpieczeństwo,
strach wieczny strach trzydzieści srebrników
Ta sama zmora na piersiach nam legła
i znów jak miazga nurtuje po trzewiach
żegnaj czeladzi, żegnaj niepodległa
z Bogiem druhowie z Bogiem, do widzenia!

Tłumaczył z czeskiego: **Aleksander Kulisiewicz**

*) Utwór „Do widzenia" został napisany bezpośrednio po powrocie pisarzy czeskich i słowackich z odbytej niedawno wycieczki do Polski.

EDMUND OSMAŃCZYK

Gisevius i Pechel

W 1946 r. w Szwajcarii ukazały się dwa grube tomy wspomnień z lat 1933—1944 pt. „*Bis zum bittern Ende*". Autorem był Hans Bernd Gisevius, jeden z nielicznych członków spisku przeciw Hitlerowi, z tzw. grupy 20 lipca 1944, który miał szczęście przeżyć Hitlera. Gisevius występował w procesie norymberskim jako świadek, a książka jego, przedstawiająca bardzo obszernie próby niemieckiego oporu przeciwko Hitlerowi zyskała dużą w świecie sławę. Zaletą książki jest to, że pokazuje ona wewnętrzną słabość niemieckiego ruchu antyhitlerowskiego. Ludzie biorący udział w spisku byli nacjonalistami niegorszymi od Hitlera i choć mieli wiele moralnych zastrzeżeń co do metod, jakimi Hitler budował potęgę Niemiec, nie potrafili obronić się myśli, że owoce zwycięstw Hitlera pozostaną na zawsze korzyścią dla narodu niemieckiego, a zatem należy czekać do pierwszych klęsk Führera, aby przeciw niemu móc wystąpić. Po pierwszych klęskach okazało się jednak, że ludziom niemieckiego oporu brakowało nadal odwagi występowania przeciwko Hitlerowi jak w latach jego zwycięstwa.

O książce Giseviusa pisano już wiele, toteż nie będziemy jej streszczać, lecz przytoczymy tylko kilka zdań z zakończenia książki — zdań, które spowodowały bardzo ciekawą polemikę z Giseviusem innego uczestnika niemieckiego ruchu oporu, Rudolfa Pechla. Posłuchajmy, co pisze Gisevius na zakończenie swej opowieści o nieudałych antyhitlerowskich puczach:

„Pragnę jasno i wyraźnie podkreślić sprawę winy niemieckiej, która przejdzie do historii i nawet po stuleciach nie będzie mogła być ani zmniejszona, ani zakwestionowana. Obojętne jest przy tym, czy w czasach następnych inni ludzie i inne narody zawinią w sposób podobny lub jeszcze większy. Tak jak z dumą i radością mówimy o sobie, że jesteśmy Niemcami, kiedy świat sławi Goethego czy Beethovena, tak w przyszłości ogarniać nas będzie zawsze ból i wstyd — i przed tym się nie brońmy — kiedy mowa będzie o wojnie hitlerowskiej i haniebnych czynach Gestapo. Z całą świadomością używam słowa „wina" i nie mam zamiaru bawić się w dialektyczne rozróżnienie między winą, a odpowiedzialnością. Właśnie dlatego, że nie można odpowiedzieć na pytanie, jaki procent stanowili niewinni, lepiej będzie, jeśli się tych nielicznych włączy w ogromną masę winnych, aby razem ze wszystkimi ponosili ciężar, któremu nie można zaprzeczyć. Jeśli tego rodzaju katastrofa uderza w naród kulturalny, jeśli w ciągu dwunastu lat nie było możliwe zrzucenie z siebie tej hańby hitlerowskich rządów, to wówczas nie można stawiać pod pręgierz jedynie kliki przywódców, obojętnie czy było ich dziesięciu, stu, czy tysiące. To oznacza bowiem, że i ci prowadzeni czy uwiedzeni również nie byli w porządku. To znaczy, że zbyt mały ciężar miała opozycja, aby mogła zaważyć na szali historii.

Nacjonalsocjalizm nie był wyłącznie sprawą samego terroru. Patrząc wstecz musimy powiedzieć, że nacjonalsocjalizm był częścią historii niemieckiego ducha, a może złego ducha. W okresie dziejów, w którym decydują ludowe masy, nie można mówić, że tylko aktywność jest winna. Przeciwnie trzeba stwierdzić, że bierność jest swego rodzaju milczącym przyczynianiem się do władzy przemocy. My Niemcy nie mamy prawa oskarżać innych o błędy i pomyłki, lecz musimy z góry uznać, że w sposób bezmyślny, świadomy lub zbrodniczy rzuciliśmy żagiew wojny w europejską społeczność. Musimy przyznać, że jedno zło pociągało za sobą następne i że po pierwszych bombardowaniach, rabunkach, deportacjach i rozstrzeliwaniach zakładników wzrastała zbrodnicza intensywność morderstw i zniszczeń, a to z kolei nadało strasznemu słowu „odwet" potworne znaczenie. Żadne dokumenty nie pozwalają nam na heroizowanie niemieckiego resistence'u a nawet nie możemy pozwolić sobie na swego rodzaju negatywne heroizowanie niemieckiego ruchu oporu, przeciwstawiając maleńkiej grupce niezłomnych przemoc demonów. Z całą świadomością odpowiedzialności mówiłem też w książce tej tak wiele o winie niemieckiej."

Tyle Gisevius. A teraz posłuchajmy Rudolfa Pechla, który w maju br. wydał również w Szwajcarii książkę pt. „*Der deutsche Widerstand*". Rudolf Pechel do roku 1942 wydawał czasopismo literacko-filozoficzne pt. „*Die deutsche Rundschau*". Miesięcznik ten tolerowany przez Goebbelsa miał bardzo niski nakład, był przeraźliwie nudny i poza jedną zaletą, że słowa jednego nie pisał o nacjonalsocjaliźmie wiele w nim interesującego nie było. Pismo to wychodzi obecnie w Berlinie, a Rudolf Pechel jest nadal jego redaktorem. Pechel aresztowany w r. 1942 za udział w spisku antyhitlerowskim należy również do nielicznych „przeżyjców" niemieckiej katastrofy, a stosunki jego z ludźmi grupy 20 lipca pozwoliły mu na opublikowanie historii niemieckiego maleńkiego ruchu oporu. Dla nas w książce tej ciekawe jest przede wszystkim to, że Pechel atakuje z niezwykłą zaciętością Giseviusa, przedstawiając go jako osobę zupełnie nie wiarygodną, człowieka, który od roku 1938 pracował w gestapo, a następne sześć lat w wywiadzie niemieckim. Z wypowiedzi Pechla wynika, że Gisevius brał pieniądze i od hitlerowców i od antyhitlerowców, że nikt do nigo zaufania nie miał, że wreszcie udało mu się uciec z Niemiec po 20 lipca 1944 roku dzięki pomocy wywiadu obcego mocarstwa. Jeśli Gisevius w swojej książce wykazuje fantastyczny brak charakteru u spiskujących generałów, a natomiast podkreśla wytrwałość w walce szefów wywiadu niemieckiego oraz szefa policji kryminalnej niemieckiej, Nebe'go, to Pechel odbrązowuje z kolei pupilów Giseviusa, którzy okazują się ordynarnymi oportunistami, żyjącymi z łapówek, pobieranych od prześladowanych Żydów. Z przytoczonych przez Pechla faktów czytelnik wyciąga wniosek, że Gisevius był gestapowcem, mającym poparcie u najwyższych władz gestapo. Prasa niemiecka przytaczając to Pechlowe oskarżenie Giseviusa, stwierdza z triumfem („Südwestdeutsche Volkszeitung" z dn. 31. V.): „*Gisevius dziś przyznaje się do winy kolektywnej narodu niemieckiego. Niewątpliwie Gisevius ma po temu powody. Odmawiamy mu jednak prawa wypowiadania w imieniu narodu niemieckiego, a tym bardziej w imieniu niemieckiego ruchu oporu, tezy o kolektywnej winie niemieckiej, tezy, której dziś już nawet wrogowie Niemiec od nas nie żądają.*"

W Niemczech w chwili obecnej stwarzana jest legenda walki narodu niemieckiego z Hitlerem. Legendzie tej służy również książka Rudolfa Pechla. Nie wdając się zupełnie w ocenę wartości moralnej osoby Giseviusa, stwierdzić musimy, że książka Giseviusa była uczciwszą od książki Pechla, nie tworzyła bowiem legendy, lecz przeciwnie nawoływała do trzeźwego uznania winy narodu niemieckiego. Pochwały, które obecnie w prasie niemieckiej zyskuje Pechel kosztem prawdy Giseviusa, są bardzo wymownym świadectwem nastrojów dzisiejszych demokratycznych Niemiec.

Edmund Osmańczyk

„Sen nocy letniej" w Państwowym Teatrze Śląskim



W ramach Festiwalu szekspirowskiego wystawił Państwowy Teatr Śląski „Sen nocy letniej" w inscenizacji i reżyserii Bronisława Dąbrowskiego i oprawie dekoracyjnej Andrzeja Pronaszki. Na zdjęciu (od lewej): Zofia Więcławówna jako Rusałka i Maria Kościałkowska w roli Puka.

Listy z Polskiego Zachodu

ZE WSI KASZUBSKIEJ

Nad otwartym Bałtykiem, na zachód od Jastrzębiej Góry, położona jest stara, czasy szwedzkiego potopu pamiętająca, wieś kaszubska Karwia. Od morza dzieli ją tylko wąskie pasmo sosnowego lasu i piaszczyste wydmy, ostrą, szablastą trawą porosłe. Plaża jest tutaj wyjątkowo piękna: szeroki na kilkadziesiąt metrów, opalowo mieniący się kobierzec miękkiego jak pieszczota dłoni matczynej, drobnego piasku. Morze ma przy brzegu dno równe, pozbawione większych i mniejszych kamieni.

Zalety Karwi, jako kąpieliska, były przed wojną należycie ocenione przez letników, którzy odwiedzali ją rok za rokiem coraz liczniej, coraz tłumniej. Wraz z przyjazdem sezonowych gości uboga wieś stawała się zupełnie inna. Szarzy jej mieszkańcy ginęli po opłotkach i szopach, ustępując miejsca barwnym piżamom i płaszczom kąpielowym. Rybaków w gromadzie można było zobaczyć tylko w porze rodzącego się dnia, kiedy wspólnym wysiłkiem ramion i pleców spychali swoje ciężkie łodzie na wodę. Na plaży było wtedy szumno i głośno od pracy morza, pięknie aż do zachłyśnięcia się, ale jeszcze pusto.

Kiedy jednak po ośmiu — dziesięciu godzinach wracały łodzie z połowu, na brzegu było zgoła inaczej. Mrowił się na plaży tłum nagich, opalonych ludzi, połyskujących od wyszukanych olejków i kremów, przybranych tylko w skąpe skrawki materii, rozkoszujących się kontaktem ciała z różowo-złocistym piaskiem, bądź podrzucających duże, skórzane piłki siatkówki. W długich, załamujących się przejrzyście i zielono falach przyboju zażywano kąpieli, dającej poczucie krzepkości i zdrowia.

I mijał dzień za dniem krótkiego sezonu letniego: dla rybaków w twardym znoju, dla letników w tej jedynej trosce, aby jak najlepiej wykorzystać urlop, aby ciału dać jak najwięcej słońca i powietrza, nerwom zaś dostarczyć jak najbogatszych wrażeń.

Toteż po dniu spędzonym w blaskach słonecznych, w najczystszym, wonnym powietrzu, w ruchu i śmiechu, zaledwie zachodzące słońce pogrążyło się w mrocznym, szkliście mieniącym się morzu — w salach pensjonatowych rozlegały się dźwięki muzyki tanecznej i długo w noc wieś rozbrzmiewała echem zabawy.

*

Dzisiaj, po latach wojennej zawieruchy, jest w Karwi inaczej. Wprawdzie morze swoim mocarnym oddechem jak dawniej syci świeżością płuca, serce zaś niewyrozumowaną radością, wprawdzie niesie jak dawniej, jak zawsze, jak przed laty tysiącem, krzepki poszum, obojętny na niedolę i szaleństwa człowieka... Wprawdzie wieś — w przeciwieństwie do srodze sponiewieranej mierzei Helskiej — nie doznała zniszczeń od działań wojennych: ani jeden dom, ani jedna gliniana *checz* nie zawaliła się od podmuchu śmiercionośnej „katiuszy" czy wstrząsu bomby lotniczej.

Zmiany jednak zaszły. Nic to jeszcze, że letników, przywożących pieniądze, a więc poprawę poziomu życiowego, ani było poświecić w pierwszym po wojnie sezonie. Ale dużą część mieszkańców Karwi huragan wojny rozsypał po dalekim świecie.

Wciągnięta, prawie bez wyjątku, na listę tzw. *wniemczonych*, ludność Karwi dzieliła losy innych wsi kaszubskich i Pomorza, nad którymi zaciążyło srogie zarządzenie osławionego „guleitera" gdańskiego, Forstera, dające się streścić w słowach: „kto nie zapisze się na listę niemiecką, będzie zniszczony". Kaszubi mieli być Niemcami i na ten temat nie mogło być z żadnym Niemcem dyskusji.*)

Wielu tedy Kaszubów, ubranych w mundur najeźdźcy, znalazło się na tych wszystkich frontach, gdzie ważyły się losy zaskoczonego świata. Są wśród rybaków tacy, którzy poprzez Ukrainę i Kaukaz dotarli aż do sowieckiego zagłębia naftowego, będącego głównym celem napaści niemieckiej na Związek Radziecki; którzy oglądali pomnikowe budowle nowej, uprzemysławiającej się Rosji; którzy marli z pragnienia pod palącym słońcem Afryki; którzy stali już u wrót Aleksandrii, by po krwawych bojach podzielić los uciekających pośpiesznie wojsk pancernych Rommla i opamiętać się dopiero we Włoszech. Inni poznali nieustającą noc poza Kołem Polarnym w Norwegii. Krwawili się we Francji, przecierali oczy na widok okrucieństw niemieckich w Polsce i Jugosławii. Część z nich padła za obcą sprawę, za wrogą sprawę, za nienawistną sprawę...

Ale wszyscy — z wyjątkiem dwu osobników, którzy splamili się niewątpliwym zaprzaństwem i donosicielstwem — byli, są i pozostaną owce, których zresztą nigdzie nie brak, które inne społeczeństwa wydały w dużo większym odsetku, uciekły ze wsi wraz ze swoimi możnymi, do niedawna, opiekunami przed miażdżącymi ciosami marcowej ofensywy radziecko-polskiej.

Poza tymi niechlubnymi wyjątkami, które umknęły przed czekającym je powrozem, cała ludność, jakkolwiek naglona do ewakuacji na zachód, pozostała. Nie na darmo Polski Związek Zachodni miał przed wojną w Karwi tylu członków... Raz zjednani dla idei państwowości polskiej nad Bałtykiem, pozostali jej wierni, chociaż wciągnięci na listę „wniemczonych" pod zniszczenia.

Prawy, gnębiony lud kaszubski był zawsze pozostawiony sam sobie w nierównej walce z germańskim zaborcą. Tak było w czasie wojującego ucisku Niemiec cesarskich, tak było również podczas ostatniej okupacji hitlerowskich zbrodniarzy. Ale podobnie, jak za Bismarka i Buelowa, tak i obecnie zdołał przetrwać w swojej masie na ziemi ojców i przeżyć ten kataklizm, który wstrząsnął posadami świata. Przetrwać na ziemi, z której byłby niechybnie wyżeniony precz i bez reszty zgładzony, gdyby był ośmielił się postąpić wbrew nakazom gdańskiego kacyka.

Autorowi tych słów pozostała w pamięci pewna rozmowa, którą miał w Karwi na kilka dni przed wybuchem wojny. Wojna miała go wkrótce przepędzić z Kaszub, skazać na poniewierkę i tułaczkę wieloletnią, uwieńczoną dramatycznym finałem warszawskim i obozem w Pruszkowie.

— Czy Niemcy tu przyjdą? — pytał sąsiad, dzielny człowiek i prawy Kaszuba, oczekując najwyraźniej zaprzeczenia.

— Przyjdą...

Rybak żachnął się i spojrzał z wyrzutem.

— Ale pamiętajcie, że gdyby nawet cały nasz kraj zajęli, to odejdą ze wstydem i Polska na Kaszuby powróci tak pewnie, jak pewnym jest „amen" po pacierzu.

W słowach moich nie było taniej chęci dodania nieuzasadnionej otuchy, była pewność najgłębszego przekonania, tak też musiał zrozumieć to sąsiad Budzisz. Jego błękitne oczy rozpogodziły się. Patrzył we mnie długo. Czerpał siłę, jaką daje wiara w nadejście słońca po burzy. Widzieliśmy obaj, że nawałnica się zbliża, że groźny, brunatny obłok, z którego padnie grom, wisi już nad nami. Żaden z nas jednak nie przypuszczał, jak straszliwe wywoła ona klęski i spustoszenia.

— A wy — zapytałem — wy, którzy tu pozostaniecie, czy będziecie podnosili ramię w hitlerowskim pozdrowieniu, kiedy przyjdą tu Niemcy, kiedy poburzą niechybnie wasze krzyże i *kapelki* przydrożne a kapłanów wytracą?

Pobożny, wychowany w szacunku dla kleru, jak wszyscy Kaszubi, Budzisz spuścił oczy i zastanawiał się długo. Mięśnie jego szerokiej, mocnej twarzy drżały pod napiętą, opaloną skórą.

— Będziemy — powiedział wreszcie cicho. — Ale... ale *nie za wysoko*.

Prawy Jan Budzisz, który zawsze brzydził się zbrodniczymi metodami niemieckich faszystów, stosowanymi wobec słabszych, wówczas jeszcze do Żydów tylko, wezwany w ostatniej prawie chwili do wojska, do Pucka, udał się tam bez zwłoki. Wytrwał w nierównej walce niedostatecznie uzbrojonej i częściowo tylko umundurowanej garstki przeciwko żelaznym zastępom, nacierającym na Gdynię. Zwolniony z obozu jeńców, wrócił do Karwi po to, aby zostać wkrótce wciągniętym na listę niemiecką i powołanym do służby w Organizacji Todta. Aż do końca wojny przebywał na terenach okupowanych, kurczących się szybko w miarę rozwoju ofensywy Sprzymierzonych. Pracował w „O. T.", bo nie miał wyboru, ale „nie podnosił ręki zbyt wysoko". Pozostał w swoim postępowaniu z krwi i kości Kaszubą, rodzimą odmianą wojaka-Szwejka, pozostał Polakiem. Z kpinami mówi o tej pracy dla Niemców, swojej i swoich ziomków.

Dzisiaj wieś kaszubska cierpi niedostatek większy może, niż reszta kraju. Srodze przy tym ucierpiała od grabieży, która nie tylko spustoszyła ubogi jej dobytek, przez całe pracowite życie gromadzony, ale poniszczyła bezmyślnie jej warsztat pracy: sieci i sprzęt rybacki.

Burzliwy Bałtyk i całkowity brak niektórych rodzajów sieci, utrudniają połowy. Pola, zawsze liche i mało urodzajne, stoją w Karwi pod wodą, przez śluzy bowiem, zniszczone rękami uciekających Niemców, wtargnęło morze. Nie było w co ziarna rzucać, skoro ziemia zalana.

Ale wieś kaszubska oswojona jest z niedolą. Zaciska pasa i wierzy, że złe chwile niedostatku przeminą, tak jak przeminęła upiorna zmora niemieckiego najazdu.

Mieczysław Zydler

*) Inaczej było w Poznańskim, gdzie po przeprowadzonym w pierwszym roku wojny masowym wywłaszczeniu i wysiedleniu na tereń tzw. „Generalnego Gubernatorstwa", nie wywierano na Polaków specjalnego nacisku w kierunku zapisywania się na listę niemiecką. Dlatego też sprawa rehabilitacji „folksdojczów" musi być w obu tych województwach rozpatrywana odmiennie.

EDWARD PIWOWARSKI

GAPA

Przez otwarte okno z ogrodu do pokoju wpadają strugi słonecznego światła wraz z przeróżnym świergotem, kwileniem, gwizdaniem ptactwa, gnieżdżącego się w krzakach i na drzewach starego sadu.

Wszystkie uroki wiosny przechodzącej w lato nie radują dzisiaj pana Franciszka, przeciwnie, rozstrajają i denerwują. Nie pociąga go stary nawyk pracy w ogrodzie, nękają wspomnienia i zdarzenia błahe na ogół i nieważne. Siedzi smutny, pełen goryczy, obarczony rozpamiętywaniem przeszłości. W ten przygnębiający stan wprowadziło go dzisiejsze spotkanie syna sąsiadów, arcyłobuza Jurka. Ze wszystkich swoich dręczycieli największą nienawiścią darzył właśnie jego.

Gdzie on się podziewał przez dwa lata? — zastanawia się — chłopaczysko wyrosło, a mimo to nadal trzymają się go głupie figle „Moje uszanowanie, panie Gapa"... Tak mnie przywitał. Bezczelny szczeniak.

Wspomnienia cisną się jedne za drugimi, jednak przypomnieć nie może, kiedy i jak zaczęło się to pasmo prześladowań. O! napewno bardzo dawno.

Teraz, kiedy przekroczył pół setki lat wydaje mu się, że przegrał życie. Czuje się ogromnie przygnębiony i osamotniony. Irytuje się, że nie może znaleźć powodu, dla którego przezwano go „gapą" i to gapą wywodzącą się nie od gapiostwa, lecz od zwykłej wrony, gapą zwanej w tej okolicy. Najpierw zaczęły wołać na niego dzieci z podwórka, później z ulicy, następnie z ulic pobliskich, w końcu już dzieciarnia całego miasteczka. Z kilkoma seriami dzieci walczył i wszystko nadaremnie, przezwisko przechodziło do coraz to młodszych pociech. Nie było chyba w miasteczku człowieka, z którym by nie miał zatargu w dziecięcych latach teraźniejszych obywateli, kolejno piastujących godność stanowiska w starostwie, magistracie i innych urzędach, nie mówiąc już o przedstawicielach wolnych zawodów.

Walka była bezwzględna i bezlitosna. Ile razy pan Franciszek pokazał się na podwórku czy ulicy, zawsze był entuzjastycznie przyjmowany elektryzującym słowem „gapa". Zawsze przez wszystkie pory roku w każdy dzień tygodnia, o każdej porze dnia ulica witała i żegnała pana Franciszka tym magicznym słowem. Z początku stosunkowo nietrudno było złapać zdzierającego gardło gagatka i spuścić mu odpowiednie lanie. Z biegiem czasu dręczyciele, nauczeni doświadczeniem i wymową ciężkiej ręki, potrafili doskonale się kryć i maskować, toteż za każdym pojawieniem się prześladowanego, nie wiadomo skąd i przez kogo gromko wykrzykiwana była irytująca obelga.

Pan Franciszek był twardy, zawzięty, więc nie ustąpił. Po prostu począł polować, używał wszelkich forteli, całymi godzinami przyczajony za jakimś rogiem czy krzakiem czatował i od czasu do czasu krzyk karanego łobuza obwieszczał ulicy, że polowanie się udało. Były to jednak sporadyczne wypadki, natomiast bezkarne prześladowania coraz bardziej rozzuchwalało hałastrę. Maltretowany z ukrycia zastosował wreszcie nowy rodzaj samoobrony: obchodząc kolejno wszystkie domy skarżył się rodzicom winowajców, a w niektórych wypadkach groził.

Po części szczęśliwy ten pomysł dał pewien rezultat, gdyż większość rodzicieli potrafiło okrężną drogą przez tyłek, ręką czy paskiem, skutecznie przemówić do rozumu delikwenta. Po takich zabiegach mniej odporni, na zadawane im cierpienia odpadli, inni, wytrzymali fizycznie, jak również psychicznie, do następnych wizyt pana Franciszka przetrwali, lecz odpowiednio tępieni w domu i poskramiani w szkole pewnie by skapitułowali, gdyby nie genialny pomysł Jurka. (Bo ze wszystkich prześladowców ten był najsprytniejszy i najbezczelniejszy; z niewinną miną potrafił najbardziej dokuczać, a obelga którą wymawiał brzmiała prowokująco. Przez długi czas ojciec i babka niezbyt wyszukanymi środkami odzwyczajali swego pupila od brzydkiego nałogu, aż odzwyczaili. Chłopak cierpiał, spotkawszy spokojnie przechodzącego pana Franciszka, pamiętał jednak zabiegi uskuteczniane na nim, gdyż przykładał rękę do ust, aby przypadkiem nie wyrwało się mu słowo zakazane).

Zdawać by się mogło, że zwycięstwo pozostanie po stronie pana Franciszka do dnia, w którym spostrzegł, jak grupa dzieci z Jurkiem na czele porzuciła zabawę „w berka", a rozkładając ręce na boki i opuszczając je do dołu powtarza tę samą czynność. Wiedział, a raczej przeczuł, że cały ten gimnastyczny zabieg jest skierowany w jego stronę, że godzi w jego osobę, ale początkowo nie pojął sensu prowokacji. Dopiero przy następnej ulicy spostrzegłszy innych łobuzów, wykonywujących te same ruchy rąk w takt odpowiedniego krakania, zmartwiał na chwilę, gdyż zrozumiał, że czynnościami tymi, chłopcy do złudzenia naśladują podrywającą się do lotu wronę.

Może niepotrzebnie wtedy dał się sprowokować, gdyż od tamtego czasu potoczyła się ostatnia seria prześladowań. O wiele trudniej było tym razem przekonać rodziców, opiekunów, nauczycieli,



„...zrozumiał, że czynnościami tymi chłopcy naśladują podrywającą się do lotu wronę."

że niewinne na pozór wywijanie łapami ma na celu obrzydzenie mu życia, a nie jest zwyczajną gimnastyką, co bezczelniejsi starali się udowadniać.

* * *

Pomimo ciągłych zatargów z dzieciarnią wielu sąsiadów przychodzi do niego po radę czy pomoc gospodarską. Sad prowadzi wzorowo, a jego owoce i jarzyny cieszą się dużym pokupem. Od szeregu lat, po śmierci siostry mieszka sam. Z rodziny nie ma na świecie nikogo, a jak na starego kawalera radzi sobie nieźle. Po siostrze został żywy inwentarz w postaci dwóch kóz, nadal przez niego hodowanych i własnoręcznie dojonych. W niedziele i święta bierze zwierzęta na łańcuchy, pasąc na miedzach i w rowach przydrożnych. Nie przejmuje się, że jest nazywany dziwakiem, a niektórzy złośliwi twierdzą, że ma w głowie źle poustawiane klepki. Żyje przecież jak Bóg przykazał, nikomu nie wadzi, do kościoła i spowiedzi chodzi, postu przestrzega.

Dziś czuje się źle, nachodzą wspomnienia jedne po drugich, całą przeszłość widzi wyraźnie, drobne zdarzenia wygrzebane z dna pamięci nabierają plastyczności, stają się żywe, nie zamazane narastaniem czasu. — Tyle lat przeżył człowiek, a ciągle samotny — właściwie przezwisko zadecydowało o mojej samotności. Mogłaby przecież kręcić się po gospodarstwie kobieta może i dzieci — było się przecież młodym — wspomina — było lato, roześmiana Jadźka, wspólne zwierzenia, spacery, trzymanie się za ręce, jak to zwykle bywa, kiedy młodzi mają się ku sobie.

STEFAN SZUMAN

O GRAFICE

Grafika ilustracyjna jest odrębnym rodzajem sztuki plastycznej. Jest to sztuka — jak dotąd — niedoceniona i zapoznana, zarówno przez publiczność, jak przez samych artystów. Artyści - malarze sądzą na ogół, że jako tzw. „sztuka użytkowa" grafika ilustracyjna jest czymś gorszym od malarstwa sztalugowego (od sztuki „czystej", itp.), a publiczność nie zdaje sobie zwykle sprawy, że ilustracje niektórych książek są dziełami wielkiego kunsztu, a niekiedy geniuszu artystycznego.

Grafika ilustracyjna jest odrębnym rodzajem sztuki plastycznej, bo grafik jako ilustrator stwarza w swych rycinach do książki plastyczną wizję niektórych z tych elementów tekstu, jakie apelują do wyobraźni czytelnika. W tym charakterze ilustrator pracuje podobnie jak reżyser i inscenizator sztuki teatralnej: jego ilustracje konkretyzują tekst w sposób plastyczny, przemieniając go na artystyczne „widowisko". Ilustrator literackiego dzieła sztuki (książki) tworzy utwory graficzne równoległe do tekstu i z nimi artystycznie sharmonizowane. W miarę, jak artysta - ilustrator tworzy ilustracje kongenialne tekstowi, w miarę, jak się w swych rycinach nie rozmija ze stylem i z „duchem" tekstu — jest dobrym ilustratorem. Musi on poza tym być doskonałym artystą w zakresie kunsztu grafiki, ale dobry malarz, czy grafik, nie jest tym samym jeszcze dobrym ilustratorem. Wybitni ilustratorzy wyróżniają się m. in. taką wyobraźnią i fantazję, która stwarza artystycznie niezwykłą i doskonałą plastyczną wizję tekstu.

Grafik - ilustrator, po drugie, jest współtwórcą estetycznego wyglądu książki, którą ilustruje. Ilustracje są nie tylko ozdobami i iluminacjami tekstu, lecz członami estetycznej kompozycji realnego przedmiotu, jakim jest książka. Grafika ilustracyjna w danej książce jest przystosowana do czcionki, do układu stronic, do tzw. zewnętrznej szaty książki i do jej „architektonicznej" budowy.

Tak pojęta sztuka ilustracji książek stawia artystom bardzo trudne, a zarazem bardzo ciekawe i nęcące zadania. Licha, a nawet mierna ilustracja jest niepotrzebna i wręcz szkodliwa. Szkoda czasu i trudu i pieniędzy na to, by książki po prostu miały jakieś tam obrazki. Dobry tekst może się doskonale obejść bez ilustracji, a lichego tekstu „ładne obrazki" nie uratują.

Wielkie pole działania otwiera się przed grafiką ilustracyjną w zakresie książek napisanych dla dzieci. W tych książkach obrazki są zupełnie tak samo ważne, jak tekst, a bywają ważniejsze od tekstu.

Bronimy się słusznie przed tym, by drukowano niemądre i bezwartościowe powiastki i liche wiersze trzeciorzędnych pisarzy dla naszych dzieci. Nie pozwólmy zatem, by wydawano masami książeczki dla dzieci z ordynarnymi, tandetnymi, lichymi i niesmacznymi obrazkami. Książka z obrazkami dla małego dziecka powinna od początku być radością jego oczu, powinna kształcić jego smak estetyczny i kształtować jego wyobraźnię plastyczną. Dobre ilustracje w książkach dla dzieci potrafią stworzyć tylko wybitni artyści - ilustratorzy.

Polska ilustracja książek dla dzieci — szczególnie od czasu opublikowania „Lokomotywy" Tuwima — może się poszczycić wybitną twórczością na tym polu. Społeczeństwo polskie powinno sobie zdać sprawę z tego, że bardzo wybitni artyści poświęcili się tej pracy i że nasza książka z barwnymi ilustracjami dla dzieci zajmuje jedno z czołowych miejsc w produkcji światowej.

Stefan Szuman.



Prof. dr Stefan Szuman (z prawej) i komisarz Wystawy Józef Mroszczak.

O wystawie

Myśl urządzenia Tygodnia Kultury powziętą i zrealizowaną przez Wojewódzką Rady Kultury, my plastycy śląscy uważamy za ważki moment w organizacji naszego życia kulturalnego. Szukając łączności ze społeczeństwem na wymienionej platformie — zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, co możemy wnieść jako nasz wkład duchowy i materialny do ogólnych dóbr kulturalnych, jak również i z tego, co oczekujemy od społeczeństwa i jego leaderów.

Nie może rozwijać się żadna twórczość w sąsiedztwie obojętności i obskurantyzmu, jak nie może rozwinąć się żadna roślina na nieodpowiednio przygotowanej glebie. Lata okupacji i świadome niszczenie przez okupanta wszystkiego, co tchnęło duchem polskim i jego szlachetnymi zrywami, wyrobiły w społeczeństwie obojętność dla spraw ducha, pozostawiając w nim jedynie instynkt walki o najprymitywniejsze środki bytowania. W tych warunkach trudność egzystencji artystów w Polsce a specjalnie na Śląsku, stwarza precedens do głębszego zastanowienia się nad tym, jako nad problemem nie tylko tej grupy ludzi (tworzących), lecz i całego społeczeństwa (konsumentów). Potrzeba sztuki, i to sztuki plastycznej, jako funkcji wyobraźni, uwidacznia się u człowieka od zarania jego istnienia w sensie osobnika świadomego. Potrzeba sztuki jest bardzo silnym elementeem w kształtowaniu się umysłowości dziecka. Człowiek dojrzały,

W słynnej książce „Genji", dziele japońskiej madame de La Faytte z czasu Samurai, utkwiło mi w pamięci miejsce, wyróżniające się boskim i nie dającym się odtworzyć w naszym języku powabem: miejsce, w którym przedstawiono, jak książę Genji w lektyce udaje się do swej kochanki. Pada śnieg. Lektyka niesiona jest przez las. Wypada postój. Genji przechadza się parę kroków tam i z powrotem, a jego ludzie odgarniają na bok gałąź jodłową, którą ciężar śniegu przydusił do ziemi, ażeby uwolnić drogę dla lektyki. Z podnoszącej się znowu gałęzi zsypuje się trochę śniegu na książęcy rękaw z czarnego jedwabiu. Śnieg ześlizguje się z rękawa i pada na ziemię. „Widok to był tak czysty i cudowny" — zauważa autorka w związku z tym — „że naraz Genji zrozumiał swą samotność. Nie miał on żadnego przyjaciela, któremu mógłby się z niej zwierzyć".

O tym miejscu na temat śniegu muszę myśleć, gdy podejmuję próbę mówienia o Giraudoux. Do niego samego, do Jean Giraudoux musiałbym mówić — on sam tylko mógłby mnie zrozumieć: a także wtedy potrzeba by — ażeby mówić o jego kunszcie — jakiejś tajemniczej gracji, jakiejś wymarzonej subtelności, podobnej do tej, z jaką śnieg ześlizgiwał się po rękawie księcia na ziemię.

Z nas wszystkich wydawał się Jean Giraudoux najlepiej uzbrojony przeciwko złośliwości losu. Jego zbroją było szczęście. On sam był jak gracz, który zawsze wygrywa, któremu karty są posłuszne. Jakże często mówił on: „Kocham starość. Rad będę starszy. Chciałbym być stary" — a przecież nie starzał się. W duchu widziałem w nim zawsze mężczyznę czterdziestopięcioletniego.

JEAN COCTEAU

Wspomnienie

W jego głosie była drwina, w jego oczach poza dużymi okularami śmiech. Jego pies prowadził go na smyczy jak jednego z tych ślepców z greckiej tragedii, którzy widzą to, co jest niewidoczne.

Jego śmierć była oszałamiającym ciosem. Ja wiem, że śmierć wszędzie na nas czatuje, i że właśnie godnych przeciwników nie omija, ja wiem, że w nocy wystawia ona swoje sidła, ja wiem, że śmierć nie następuje na skutek jakiejkolwiek chroby, ale właśnie na skutek tej choroby, spośród wszystkich chorób wybranej, która w danym wypadku nazywa się śmiercią — ja wiem, że igra ona sobie z nas w straszliwy sposób.

Wiedziałem też, że Jean Giraudoux był chory, że odbywał kurację, że bał się mieszkać w prawdziwym domu, jednym z tych domów, na którego drzwiach śmierć chętnie czyni swój kredowy znak krzyża. Że podróżował. Żył już to w tym, już to w tamtym hotelu. Zacierał swój własny ślad.

Niespodziewanie zaprowadziły go zewnętrzne okoliczności do jego właściwego mieszkania z powrotem, gdzie czekała nań jego żona, i już następnego dnia zaczęła się walka.

Wszelkimi swymi siłami podjął on bój przeciwko owej podstępnej śmierci. Na trzeci dzień śmierć okazała się silniejsza i uczyniła go posągiem.

Widzieliśmy naszego przyjaciela, widzieliśmy tego wyzbytego z wszelkiej ciężkości kochanka słowa, jak milcząc płynął na rzecce zmarłych. Nieporównany spokój uczynił twarz jego stężałą i sztywną, usidlił jego napięte rysy.

Przypomniałem sobie śmierć Marcela Prousta. Napisałem wówczas, że stos piętrzących się na jego nocnym stoliku manuskryptów przypominał o ręcznym zegarku, który na przegubie ręki poległych tykając żyje dalej. Nie odnosi się to do Jeana Giraudoux. Tutaj zastój jest całkowity. Dopiero co mówił — aż oto zamknęły się jego usta. Niedokończone są dzieła, które zostawia. Jedna książka, jedna sztuka teatralna. Dzieło jego zacznie naturalnie żyć własnym życiem, my bowiem naruszamy przecież tylko nasze dzieło, my je doprowadzamy do tego, że obraca się właśnie przeciwko nam, aż nie zacznie sobie niczego bardziej życzyć, jak tego, żeby nas się pozbyć: ale widok Giraudoux na jego śmiertelnym łożu, oblany smugami cieni i płynącymi falami bielizny był widokiem porażonego błyskiem piorunu.

W ogóle zaś żadne oblicze zmarłego nie ukazywało w tak wysokiej mierze czystych rysów, w których wyraża się istota Francji. To ugodzone ogniem niebieskim, nagle ze swego patrzenia wytrąca oblicze, które zdradzało wyłączne zajmowanie się problemami, nic nas nie obchodzącymi, było podobne do pośmiertnych masek pustelników z Port-Royal albo wielkich wodzów wojskowych. Było ono, w owym szumnym pokoju Quai d'Orsay jak kamień graniczny na niebezpiecznym miejscu pomiędzy naszym i tym drugim światem, pomiędzy zagadkami świata, a tajemnicami zaświatów.

Przegląd prasy niemieckiej

Neue Berliner Illustrierte

BERLIN (str. sow).

Kwiecień 1947. Blisko dwa lata po zakończeniu działań wojennych. Miasteczko wirtemberskie Giesslingen wdecha wesoło pierwszy powiew wiosny. Aż oto rodzi się pogłoska, która wnet zamienia się w bolesną prawdę. Rozkaz: „Opróżnić mieszkanie! Meble, pościel i najważniejsze naczynia domowe zostawić!" Jest godzina 18. Do godz. 7 rano musi nastąpić przekazanie. Płacząc ze złości idą mieszkańcy precz ze „swego" świata w niepewne. Dla kogo? Dla estońskich DP. Zatem dla niewinnych ludzi bez ojczyzny? Wirtembergia zna ich w dostatecznym stopniu. Komu zależy na zapewnianiu tym elementom szczególnego dobrobytu? Dlaczego nie trafiają oni z powrotem do swej ojczyzny?

Z pewnością jest wśród nich niejeden, co jeszcze nie potrafił znaleźć drogi do mieszczańskiego życia: rozbitki wojny, ludzie onieśmieleni kłamliwą propagandą o nowych stosunkach w ojczyźnie. Ci są najlepsi. Tym jeszcze można pomóc. Łotwa np. oświadczyła oficjalnie, że „nikt nie będzie prześladowany, kto żadnej innej winy nie wziął na siebie jak opuszczenie ojczyzny i służbę w niemieckim wojsku. Wszyscy będą — skoro tylko przekroczą granicę — korzystać z praw i swobód obywateli sowieckich".

Kto zatem mógłby się obawiać powrotu? Wszyscy, którzy mają coś na sumieniu. Wczorajsi naziści! Ochotnicza soldateska: uciekinierzy bałtyccy, Polacy z armii Andersa, ówcześni ludzie Własowa, którzy służyli we własnych formacjach albo jako pomocnicy w wojsku nazistowskim, Jugosłowianie Michaiłowicza, faszystowscy Czesi, krótko: faszystowskie szumowiny z całej Europy. We własnych krajach poszukuje ich się jako zbrodniarzy wojennych, przenoszą więc życie obozowe ponad powrót. Na czele „ukraińskiego komitetu" w Augsburgu stoi np. niejaki Wasyli Szmuljak, który był czynny w niemieckiej służbie szpiegowskiej. Wszędzie, w Fürth, w Regensburgu, w München i w Hannowerze istnieją podobne „białoruskie, bałtyckie, łotewskie organizacje", w których ukrywają się pasożyty Niemiec. Wielu z nich to kryminalne albo stroniące od pracy elementy.

Reakcyjne kręgi wykorzystują zręcznie drażliwe położenie DP i gromadzą ich w oddziałach wojskowych. W strefie amerykańskiej zakwaterowanych jest 40.000 Polaków w kompaniach roboczych, w Solingen 200 Polaków w angielskich mundurach, 10.000 Jugosłowian pod wodzą skazanego zaocznie jako zdrajcę ojczyzny generała Shiwkowicza tworzy w angielskiej strefie „królewsko-jugosłowiańską armię". Z początkiem maja protestowała płn. Westfalia przeciwko wjazdowi 12.000 czetnikowskich Jugosłowian z Italii, którzy tam byli postrachem ludności. To już nie są DP.

Jeżeli dzisiaj panują w Niemczech stosunki dzikiego zachodu: mord, rabunek i „szaber", to winę tego ponoszą w dużym stopniu te stroniące od pracy elementy. Stanowią one polityczne, moralne i gospodarcze obciążenie narodu niemieckiego, który z trudem walczy o swój nowy ład demokratyczny. Uważamy za swój obowiązek przyjęcie milionów Niemców z krajów sąsiednich, danie im w naszych szeregach nowej ojczyzny. Także dlatego mamy prawo oczekiwać najprędszego oczyszczenia naszej ojczyzny z tych złych elementów, którzy ukrywają się pod maską rzekomych DP.

Miłość trwała przeplatana snuciem projektów na przyszłość, dostarczając tematu miasteczkowym plotkarom. Sielanka się skończyła, kiedy Jadźka przypadkiem usłyszała paplanie kumoszek.

Popatrz no, moja pani, kto to tam idzie, bo dobrze niedowidzę. „Gapowa! moja pani Gapowa!". Z kolei i siostry, miała ich siedem, „gapową" ją przezwały. Ohlubienica nie wytrzymała, miłość prysła i projekty diabli wzięli. Teraz Jadźka ma siedmioro dzieciaków, a te jak wszystkie grzeczne dzieci miasteczka, odpowiednią porcję przezwisk potrafią przy sprzyjających okolicznościach zaaplikować. Z upływem lat, do pewnego stopnia przyzwyczaił się pan Franciszek do przezwiska i kiedy bywa w dobrej formie, spokojem i obojętnością osłabia entuzjazm dręczycieli.

Jednak dzisiejsze niespodziewane spotkanie Jurka, z wymienionym przy przywitaniu przezwiskiem, wytrąciło pana Franciszka z równowagi do tego stopnia, że w tej chwili wini głównie jego za wszystkie przykrości, ponoszone od wszystkich, przez cały okres prześladowań, nawet i za te, kiedy chłopaka jeszcze na świecie nie było.

* * *

Przez otwarte okno, zaraz za sadem na prawo, u samych stóp wąwozu urwiska, widać wyraźnie opuszczoną stodołę, przylegającą



...zarysowała się sylwetka człowieka, poruszającego rękoma, przypominająca do złudzenia ruchy ogromnego, rannego śmiertelnie ptaka.

północną ścianą do brzegu wąwozu. Patrząc tam, widzi Franciszek, jak od pewnego czasu koło stodoły kręci się nieznany mu młodzieniec. Czego on tam szuka? — stara się docieć. Nawet przyzwoicie ubrany, wysokie buty, letni płaszcz, robi wrażenie jakby na kogoś czekał. Pan Franciszek zaintrygowany obecnością w tym miejscu nieznajomego, wynajduje sobie wygodniejsze miejsce do obserwacji. Przez moment wydaje mu się, że poluje na jednego z urwisów, żeby mu dać odpowiednie lanie. Widocznie nieznajomy jest zdenerwowany, gdyż co chwila kopie nogą przydrożne łopuchy i osty, to znów rozgląda się niespokojnie na wszystkie strony. Po jakimś czasie do czekającego przychodzi dwóch, znów nieznanych panu Franciszkowi ludzi. Wchodzą do stodoły — wychodzą — i tak w kółko. Ki djabeł ich przyniósł i poco? Czego oni tam szukają? — dziwi się obserwator... Znów przyszło trzech... O! jest między nimi Jurek — ni stąd ni zowąd ucieszył się tym odkryciem.

W marynarce człowiek się poci, a tamci są w płaszczach — trafnie zauważył. Teraz to nawet widzi, że coś im tam wystaje, nawet domyśla się, co nieznajomi ukrywają pod płaszczami i robi mu się tak gorąco, że nie może na miejscu ustać. Ładna historia. Ogarnął go nieokreślonoy i nieuzasadniony lęk. O! znów przyszli jacyś, poszeptali między sobą. Jeden zawrócił skąd przyszedł, drugi udał się drogą w dół, pozostali weszli do stodoły, zamykając wrota za sobą. O niedobrze, na coś się zanosi — osądził pośpiesznie — trzeba stąd wiać.

Po pewnym czasie pan Franciszek prowadząc na łańcuchach kozy, przeszedł wąwóz obok stodoły i znalazł się na miedzach wśród półkola pól, otoczonych miasteczkiem. Zgłodniałe zwierzęta skubią zieleń, a ponieważ pan Żądło ma inklinację do rozważywania przeróżnych zagadnień, zwłaszcza tych życiowych, więc sprawę dokładnie rozważył i doszedł do słusznego wniosku, że chłopcy zebrani w stodole to tylko partyzanci, o których tak głośno było w miasteczku. Kto by jednak przypuszczał, że Jurek, do niedawna noszący krótkie portki, włóczący się gdzieś po świecie, znajdzie się wśród partyzantów.

Delikatny wietrzyk igra we włosach i brodzie pana Franciszka, słońce pnie się coraz wyżej, w zbożu nawołują się przepiórki. Pasterz mocno na skróconych łańcuchach trzyma kozy, żeby nie skubały koniczyn i zbóż, ale nadal jest myślą przy „tamtych" w stodole. Co oni tam robią — próbuje docieć. Niestety brak mu czasu na spokojne rozważenie tego zagadnienia, gdyż zaniepokoili go rozsypani po polach ludzie, których nagle zauważył w nie dużej odległości. Obsiadł go strach. Nie dostrzegł na znaczną odległość mundurów, ale instynkt mu odpowiedział, że szybko posuwające się w jego stronę postacie to żandarmi. Już po partyzantach — pomyślał — sprytnie ich zachodzą, kanalie.

— Jakoby przypomniał sobie powtarzane twierdzenie — przed śmiercią człowiek widzi wyraźnie najdrobniejsze szczegóły swojego życia, tak, jak je dzisiaj. Dostrzega, a nawet słyszy jak Niemcy dają mu porozumiewawcze znaki, żeby czym prędzej do nich się zbliżył. Co robić? Co robić? Setki myśli przebiegają mu przez głowę. Kozy przestały skubać, skupione i przestraszone patrzą na zbliżających się i wymachujących rękoma ludzi. Momentalnie opracował plan działania, pomaleńku jak gdyby ich nie widział i nie słyszał zawraca i coraz szybciej kieruje swe kroki w stronę stodoły. Taktyczny manewr odwrania się od nieprzyjaciela widocznie nie spodobał się żandarmom, gdyż doleciały go wzmocnione nawoływania i przekleństwa, na skutek których pan Franciszek przyśpiesza nie oglądając się kroku. Po chwili słyszy gwizd jeden, drugi, trzeci „Źle jest, strzelają do mnie" stwierdza — ; co sił w nogach i płucach biegnie, ciągnąc za sobą przestraszone kozy. Biegnie nieuważnie, że też nogi zaplątują się w łańcuchy. Upada... Spłoszone zwierzęta, pobekując, rozbiegają się. Szybko zrywa się i znów biegnie „na skróty", przez zboża. Coraz częściej gwiżdżą kule. Z biegu, gorąca, a przede wszystkim ze strachu cały jest zlany potem.

Ucieka teraz jeszcze szybciej. Do wąwozu za stodołą już nie daleko, ale cóż, kiedy czuje nagle piekące ukłucie w pośladku i nodze. „Franuś" trafili cię — przez ułamek sekundy rozkleił się nad sobą. Potem ogarnia go słabość, czy senność, już biec nie może, ale idzie zataczając się jak pijany. Zastanawia go, że chociaż jest słoneczny dzień, pola, drzewa, miasteczko, przysłania przedziwna mgła. Uśmiecha się, gdyż jest już nad wąwozem. W dole majaczy stodoła z otwartymi wrotami. Sprawię chłopcom niespodziankę — myśli — i ogromnym głosem, z dużym wysiłkiem krzyczy: Uciekajcie! Uciekajcie! Niemcy!

Jeszcze stara się zejść w dół — niestety — na samej krawędzi urwiska gnie się i chwieje, a na tle wspaniałego błękitu nieba, przez moment w oderwaniu od ziemi, zarysowała się sylwetka człowieka, machającego rękoma w sposób do złudzenia przypominający ruchy ogromnego, rannego śmiertelnie ptaka, ważącego się nad ziemią, aby nie osiągnąwszy równowagi runąć w przepaść. Leżąc na dnie wąwozu w najdrobniejszych szczegółach przypomniały mu się gorycze i radości całego życia. Wie, że był niedawno goniony przez żandarmów, że strzelano do niego, że nie słyszy wściekłych przekleństw, nie odczuwa chamskich kopnięć. Oczy przysłoniętych powiekami otworzyć nie może, mimo to z wielką dokładnością i przeogromną trwogą widzi jak cały pułap nieba, wytapetowany miliardem złocistych gwiazd wali mu się na głowę.

Edward Piwowarski

---

specjalnie zaś mieszkaniec miast i ośrodków przemysłowych, gubi się w chaosie codziennych trudności i spraw związanych z walką o chleb. o jutro. Wyrwanie go z tego chaosu, szarzyzny życiowej, jest obowiązkiem każdego z nas, przez dostarczenie mu odpowiednich wartości odprężających jego psychikę i budzących tęsknotę za czymś wyższym, za czymś, co podnosi jego wartość intelektualną. Jeśli misji tej podejmujemy się, wobec ciężkich niejednokrotnie trudności materialnych, które my artyści codziennie zwalczać musimy, to każda pomoc choćby moralna, ze strony władz i społeczeństwa samego, ułatwia nam to zadanie i daje nam świadomość celowości i zrozumienia naszego wkładu w kulturę narodową.

Zaw. Zw. Art. Plastyków, Okręg Śląski — idąc w myśl swoich założeń i biorąc również udział w akcji Tygodnia Kultury urządził w tym okresie szereg wystaw jak: Ogólnopolska Wystawa Ilustracji Książki w lokalu związkowym w Katowicach, poprzedzoną Wystawą Sztuki Dziecka. W tych samych dniach Państwowa Szkoła Sztuk Pięknych w Katowicach ukazuje prace będące dwuletnim dorobkiem uczniów tej szkoły, rekrutujących się w przeważającej liczbie z synów robotników i górników. Szkoła ta prowadzona przez dyr. Marcinowa wykazała duża żywotność i nieprzeciętnie wysoki poziom prac, dzięki fachowemu zespołowi profesorów tejże uczelni jak: prof. Rak, Pomorski, Mroszczak inż. Rzepecka, Obrembina i Tejwan. Oddziały Związku w Gliwicach i w Bytomiu organizują salon wystawowy pracujących na tamtym terenie artystów plastyków, biorąc pod uwagę specjalnie jako temat pejzaż Śląski. Bezsprzecznie nie pozostają również sekcje w Bielsku i w Sosnowcu.

Nawiązując do Wystawy Ilustracji Książki, należy przede wszystkiem zwrócić uwagę, na wysoki jej poziom i różnorodność prac i techniki. Wzbudziła ona zainteresowanie nie



Józef Mroszczak: Okładka.

tylko wśród naszych grafików, uprawiających ten rodzaj sztuki, lecz również spotkała się z uznaniem reprezentantów wydawnictw zagranicznych, czego wynikiem jest zaangażowanie eksponatów na Wystawę do Pragi Czeskiej, Berlina itp.

Jeśli chodzi o poszczególne prace, zwracają uwagę kreskowe rysunki (tusz) Marczyńskiego, który wykazuje doskonałe poczucie formy i kompozycji żywej i subtelnej w przeciwieństwie do niepozbawionych czasem konwencjonalnego smaczku rysunków Uniechowskiego, któremu jednak nie można odmówić bogatej wizji kompozycyjnej. Zarubę znamy bardzo dobrze i nie zrobi nam niespodzianek. Jego satyra jak dotychczas, nie traci na charakterze i grotesce w ujmowaniu postaci i fizjonomii. Jan Szancer zaprezentował fragmenty z teki akwarel do „Bajki o Żelaznym Jeżu", przystosowane do techniki ofsetowej, czym może tłumaczy się zbyt przygaszony i monotonny koloryt tych plansz. Silniejsze wrażenie robią jego rysunki czarno-białe do „Don Kichota". Jest to bezprzecznie rasowy ilustrator. Ilusetracje do bajek Olgi Siemaszkowej prócz b. kulturalnego ujęcia i dyskretnych kolorów posiadają dużo dowcipu i wyrazu. Odpowiadają one najbardziej może psychice i wyobraźni dziecka. Mrożewski nadesłał z Paryża szereg drzeworytów ilusetracyjnych. Kuliszewicz, którego oglądaliśmy w Warszawie przed niedawnem czasem w oryginałach („Teka Warszawy") ze względu na dość liche reprodukcje mniej interesujący. Topolski nadesłał z Londynu szkice wojenne. Są to właściwie tylko notatki ze szkicownika dobrze prosperującego artysty. Ciekawie przedstawia się Spółka Lewit i Him, w ilustracji angielskiej wyróżniające się kapitalną groteską sytuacji i postaci. Ilustracja przedstawiająca pociąg przejeżdżający przez miasto, posiada niemal dźwiękowy rytm. Czesław Rzepiński w swoich wrażeniowych ilustracjach piórem wydobywa założenia malarskie. Są to rysunki o zupełnie swoistych walorach kompozycyjnych, cechujących tego malarza. Z wybitniejszych prac należy jeszcze wymienić ilustracje do bajek: Eryka Lipińskiego, Sandeckiej i Nowickiego z U. S. A., grafiki małżeństwa Sołtanów, drzeworyty z Teki Obozowej St. Żukowskiego, ekslibrysy Acedańskich, Młodzianowskiego, Langnera. Mamy również rysunki znanych grafików: Piotrowskiego, Kamyszka, Eilego, Miklaszewskiego, Swinarskiego, Tomaszewskiego oraz kolegów pracujących za granicą, jak Horowicza z Londynu, Małkowskiej z Paryża i wielu innych.

Niemniej ciekawie przedstawia się dział projektów na okładkę książki. I tutaj znajdujemy dużą różnorodność formy i techniki. Można tu zauważyć pewien tworzący się już styl polskiej grafiki użytkowej, nie przeładowanej zbędnymi elementami efekciarskimi, lecz przez konsekwentne przeprowadzenie rysunku, dobrze przemyślaną koncepcję kompozycyjną związaną z treścią książki, dającą b. estetyczną i artystyczną szatę zewnętrzną. W pierwszym rzędzie warunkom tym odpowiadają okładki inicjatora tej ciekawej wystawy, Józefa Mroszczaka. Szereg wystawionych prac świadczy o dużym dorobku tego artysty; słusznym też wydaje się nagrodzenie go przez Jury za okładkę powieściową. Taką samą nagrodę przyznano Karolakowi za okładkę do bajki. (Nagroda Awiru). Oprócz tego Jury w osobach prof. Akademii oraz prof. Andrzeja Jurkiewicza i prof. Pomorskiego przyznało nagrodę Min. Kultury i Sztuki art. mal. Marczyńskiemu za ilustrację książki, Jerzemu Zarubie za ilustrację prasową, prof. Rakowi za szereg rysunków ilustracyjnych. Ponieważ termin wystawy upływa z dniem 1 sierpnia, byłoby wskazanym, aby jak najszersze warstwy społeczestwa oraz organizacje kulturalno-oświatowe zechciały się tą ciekawą wystawą zainteresować.

Janusz Łonicki



Jerzy Zaruba: Ilustracja do listów z Londynu.

---

o Giraudoux

Mój Boże, jakąż to bronią nie potrafiły te splecione, osypane perłami różańca ręce wojować! Nikt tak jak Giraudoux nie wiedział, jakiej potrzeba cierpliwości, ażeby wygrywać naprawdę decydujące bitwy, i jakiej pewności, ażeby osiągnięte zwycięstwa konsolidować. I z jak rzadkim uczuciem wstydu postępował on w tym wypadku. Nikt nigdy nie widział go piszącego. Tylko w jego głowie dokonywała się praca w swych zarysach, — tutaj wyłącznie wiązał i dzierzgał ją na jej ramach, na jej gwiazdach. Wierzcie mi, jeszcze w chwili, gdy spotkaliście go z jego pudlem na ulicy, pracował on nad ich wykończeniem, a jeżeli grzecznie z wami rozmawiał, to jednak z tego powodu nie przerywał pracy nad nimi, — a gdy się potem zamknął, aby pisać, to tylko dlatego, że jego nić aż do ostatniej resztki została wysnuta.

Nie moją rzeczą jest mówić o jego książkach i sztukach teatralnych. Każdy młodzian potrafi to dzisiaj lepiej i bardziej szczegółowo, aniżeli ja.

Postanowiłem gawędzić o nim w podobny sposób, jak gawędzimy o tych, w których znajdywaliśmy upodobanie, gdyśmy razem w którejś z małych knajp Palais Royal siedzieli przy obiedzie.

Ale jeszcze raz: ażeby do was we właściwym sposobie mówić o Jeanie, trzeba by pyłku ze skrzydeł jego motyli, drżenia jego jętek, tajemnych znaków przyzwolenia, które u niego jeszcze konary drzew od siebie dają, alegoryj jego chmur, mechanizmu jego zegarów kurantowych, niesłyszalnego kroku jego aniołów i straszliwej dialektyki jego bohaterów.

Wysoki przedstawiciel francuskiego ducha i na ogół świetny uczeń, który wraz z pilnością pierwszego potrafił łączyć tajemniczy prestiż nicponia.

Nie byłby to jednak wzorowy uczeń, gdyby mu brakowało wspomnianego prestiżu, gdyby nie umiał siebie samego obsłużyć, jednym słowem, gdyby na ławie szkolnej nie potrafił przyrządzić owej subtelnej mieszanki, która dopiero przyniesie mu sławę arystokraty w klasie. Ponieważ Giraudoux trzymał w swym reku przędzę Ariadny ucznia Ecole Formale i dyplomaty, mógł on odważyć się wejść w swój labirynt, wolno mu było odważyć się na to, pociągnąć nas za sobą po swym trupie.

Tym samym upodabnia on się do bohaterów, którzy swe szczęśliwe osiągnięcia zawdzięczają własnemu nieposłuszeństwu albo wykroczeniu przeciwko dyscyplinie.

Zdarza się nawet, że to nieposłuszeństwo jest dziełem tego przypadku, jako który określa się natchnienie, o którego istocie ja sam oczywiście całkiem inaczej myślę. Jak mniejwięcej w wypadku księcia Homburga u Kleista. Jego nieposłuszeństwo prowadzi do zwycięstwa na polu bitwy. Elektor zasądza go pomimo jego sukcesu. Jakkolwiek i tutaj miłość elektora bierze górę i księciu Homburgowi ratuje życie.

Jean Giraudoux posiadał szczęśliwą zdolność przemiany nawet najmniejszego przypadkowego spostrzeżenia na cud. Ale czyż można tutaj mówić o jakiejkolwiek przypadkowości; czyż nie chodzi tu przede wszystkim o to, że duch jego pokroju podobny jest do ula, w którego złotym warsztacie praca nie ustaje ani na chwilę?

Ten zburzony ul narysowałem. Zamknięty w jego pokoju, spróbowałem w owe rano 31 stycznia przedstawić to oblicze w mowie linij, oblicze, które przestało od wewnątrz promieniować i, podobne do muru, odpychało od siebie najmniejszy promyk świetlny świata zewnętrznego. — Świat milknie wobec oblicza zmarłego. Zaciśniętymi ustami zamyka ono w milczeniu tajemnice innego świata. To, co oto mamy przed sobą, nie jest niczym innym, jak tylko cienką, a pomimo to nieprzeniknioną przegrodą, zewnętrznym kształtem, w który nic już nie wchodzi i z którego nic już więcej do nas nie dociera, powłoką oddzieloną ostatecznie od uchodzącej duszy, niebacznie byle gdzie porzuconą. Nabożne ręce zajmują się nią następnie, układają ją, wygładzają i prasują odzienie. Ona jednak nie staje się przez to mniej pusta.

Takie mniej więcej myśli chodziły mi po głowie, kiedy rysowałem śmiertelne resztki naszego przyjaciela. Jego pies Puck nie myli się. Szuka go gdzie indziej, aniżeli w tym pustym pokoju. Węszy naokoło. Chciałby znaleźć drzwi, na których mógłby drapać, ażeby potem skoczyć swemu panu naprzeciw. Ale takich drzwi już nie ma, a jeśli chcemy znowu być u niego, to już musimy czekać, aż umrzemy.

Ale wtedy odnajdziemy twego pana. Z figlarnymi oczyma wyjdzie nam naprzeciwko i powie wreszcie, czy istnieje świat, gdzie ludzie jak my milczą i ani jednego wiersza więcej nie piszą.

Spolszczył A. W.

BOGDAN BUTRYŃCZUK

Szekspirowski sen

Aby nie powtarzać epitetów, towarzyszących dziełu Szekspira od 300 z górą lat, trzeba zapomnieć o istnieniu przymiotników, określających jakość estetycznych wrażeń, takich jak: zachwyt, oczarowanie, upajająca dziwność itp. A jednak Szekspir zmusza do entuzjazmu, a czyni to w sposób bezapelacyjny i stanowczy, potrafi zachwycić wszystkich: stałych bywalców teatralnych i przypadkowych widzów, markistów i filatelistów, profesorów i profanów, fachowców i laików, całą widownię i całą scenę i — rzecz jasna — jury konkursowe też. Nawet wieczni pesymiści zacierają ręce z zadowoleniem, że żaden z dzisiejszych pisarzy Szekspirowi nie dorównał. To mi dopiero „teatr dla mas" — ... byle go tylko „masom" udostępnić. „Totus mundus agit historionem".

„Sen nocy letniej" najlepiej może pokrywa się z tym hasłem szekspirowskiego teatru, bo w nim rzeczywiście „cały świat gra komedię". Tezeusz pewny siebie i swej mądrości, mówi o niej w ten sposób:

Więcej w niej dziwu niż prawdy. Nie wierzę
Tym starym baśniom, gusłom czarodziejskim.
W kiplącym mózgu kochanków, szaleńców.
Wre wyobraźnia tak płodna, że stwarza
Więcej niż zdoła zimny pojąć rozum.
Wariat, kochanek i wieszcz istność całą
Ma w wyobraźni. Obłąkaniec widzi
Liczniejszych czartów niśli ogrom piekła
Zdolny pomieścić. Kochanek odkrywa
Piękność Heleny w licu Egipcjanki.
Oko poety biega w szczytnym szale
Z nieba do ziemi, a z ziemi do nieba;
I gdy zarysy nieznanych przedmiotów
Mkną w wyobraźni, w ciało je obleka
Pióro poety, nadając marzeniom
Miejsce, nazwisko i tło rzeczywiste.
Z taką to siłą działa wyobraźnia,
Że byle tylko w radość się podniosła,
Już widzi zaraz tej radości posła,
Lub gdy ją w nocy nagle strach nawiedzi,
Natychmiast krzaki przetwarza w niedźwiedzi.

I mądry Tezeusz, który tak świetnie opisuje atmosferę wyśnionej z wyobraźni poety komedii, wychodzi na durnia, skoro nie chce w jej istnienie uwierzyć, zaś w kilka chwil później daje się nabrać na „Nudny i krótki dialog Pirama z kochanką Tyzbe, śmieszny i tragiczny". Na pewno nie nabierze się ten, kto pójdzie za radą głównego „reżysera" komedii, Puka:

Gdyśmy zbłądzili, my cienie,
Rzecz się cała wnet ocali,
Tylko myślcie, żeście spali,
Gdy się snuło to marzenie.
Na czczy przedmiot, liche baśnie,
Co się tylko kończą na śnie,
Miejcie wzgląd.

Pozwoliłem sobie przytoczyć oba te fragmenty dlatego, ponieważ — moim zdaniem — zawierają one zasadniczej wagi wskazówki dla każdego inscenizatora „Snu nocy letniej" i są zarazem najlepszym komentarzem dla każdego widza.

* * *

„Totus mundus agit historionem". Ową komedię grają kształty wprawione w nieomylny, harmonijny ruch i akcję dramatyczną. Żywą, tętniącą krew wlewa w nie natchniony poeta i puszcza w świat sztuki, świat nimi wypełnia. Ożywia skamieniałe posągi starożytności, zapomniane postacie owidiuszowych „Metamorfoz", zaklęte duszki ludowych baśni i legend — wszystko to osadza w czasie nieograniczonym jak historia i przestrzeni ogromnej jak świat. Logika artystyczna i poezja sprawiają, że sen śniony podczas parnej namiętnej, dyszącej żądzą nocy letniej 1594 roku materializuje się w artystycznym kształcie, pozwalającym mu utrzymać ten sam podniecający wyobraźnię nastrój. Wydaje mi się, że wtłaczanie „Snu nocy letniej" w ramy udramatyzowanej baśni i wysuwanie motywów baśniowych na czoło elementów konstruktywnych tej komedii jest pomyłką, wypływającą nie tylko z braku odczuwania poezji. Szekspir wykorzystał tu elementy baśniowe w tym samym i wcale nie większym stopniu co dzieła plastyki, mitologię, starożytną i średniowieczną poezję, a nawet historię ludów. W moim pojęciu szepspirowski „Sen" jest udramatyzowanym erotykiem — a bujny, chwilami nawet męczący erotyzm naczelnym pierwiastkiem jego nastroju. Tęskniący Romeo i rozbudzona pierwszym pocałunkiem Julia napewno śnili podobnie. Doprawdy, nie warto zastanawiać się, czy owa letnia noc wypadała na maj, czy na czerwiec w wigilię św. Jana. Pewnym jest, że poprzedzała noc poślubną Hermii i Lizandra, Heleny i Demetriusza, Hipolity i Tezeusza, no i Elżbiety hr. Southampton, dla której prawdopodobnie Szekspir sztukę napisał. Figury teatralne są tu odmitologizowane, uproszczone i jakby rozpuszczone w owej atmosferze najprawdziwszego snu, przesączonego przez pryzmat najczystszej poezji. Oto materiał, dający ogromne pole do popisu dla inscenizatora, reżysera, aktorów, dekoratora, charakteryzatora, choreografa... „Sen nocy letniej" nie jest wynikiem zwykłej, marzycielskiej, poetycko-kapryśnej fantazji — to twórczość wyobraźni wizjonerskiej, zorganizowanej artystycznie, osadzonej mocno w rozwiązaniu koncepcji na transparencie sceny. Dlatego każde rozwiązanie inscenizacyjne, byle tylko utrzymane w jednym, ogarniającym całość klimacie nastrojowym i stylu, powinno być ciekawe, a nawet dobre.



Grupa rzemieślników ateńskich

* * *

Z katowickiej inscenizacji „Snu nocy letniej", przygotowanej z wielkim pośpiechem (i może dlatego nie zupełnie przygotowanej) na Festiwal, bodajże tylko Szekspir wyszedł obronną ręką: potwierdził raz jeszcze swą genialność. Zawsze sądziłem, że tekst przetłumaczony przez Stanisława Koźmiana jest najmniej poetycznym elementem przedstawienia. Musiałem jednak zmienić zdanie. Ale jakby nie było, honor Teatru Śląskiego — choć przez nikogo nie podawany w wątpliwość — został uratowany. Szkoda tylko, że zamiast w lipcu, nie wystawiono Szekspira w maju lub czerwcu. Szkoda ze względu na szkoły, ze względu na młodzież, która — niestety — przedstawienia tego nie zobaczy.

* * *

Bronisław Dąbrowski realizując „Sen nocy letniej" nie popadł w kolizję z Szekspirem (za wyjątkiem mitologizacji niektórych postaci), ale też nie interweniował w jego dzieło. Podał niemal w całości tekst Koźmiana i poddał się dość ograniczonym możliwościom technicznym katowickiej sceny. Izba rzemieślników ateńskich została postawiona na zapadni i wjeżdżała sobie lub zjeżdżała w miarę potrzeby. Gorzej było z pałacem Tezeusza, który wjeżdżał z boku, a w finale przypominał do złudzenia tramwaj, oblepiony pasażerami. Inscenizacja plastyczna *Andrzeja Pronaszki,* bezsprzecznie oryginalna w pomyśle i nowa — budzi sprzeciw w realizacji spektaklu. Wydrążone pnie ateńskiego gaju, doskonale zresztą wykorzystane przez reżysera w scenach z Pukiem, przytłaczają swoim ciężarem i czynią wrażenie pejzażu jakiejś wyspy umarłych. Można się w zasadzie zgodzić na takie pojmowanie szekspirowskiej umowności, widowiskowa strona przedstawienia tylko na niej zyska, byle zachowano umiar i konsekwentną formę stylu (i tak urozmaiconego szekspirowską dowolnością). Tymczasem ani owe tańczące w charakterze robaczków świętojańskich lampki, ani finał, ani niektóre kostiumy (dam dworu Hipolity i Tytanii) nie bardzo mieszczą się w ramach umowności.

Tacjanie Wysockiej można pogratulować układu grup (jeśli jest to jej zasługą) na stosunkowo ciasnej przestrzeni. Nie podejmuję się jednak oceny tańców i baletu, z jego ponoć efektownym wejściem w IV akcie, ponieważ rzadko bywam w kabarecie. Znana od lat ilustracja muzyczna Feliksa Mendelsohna, w miarę ckliwa i „przyjemna dla ucha", opracowana przez *Witolda Krzemieńskiego* — zbyt natarczywie niekiedy wkraczała w akcję, może zbyt głośno, a może tylko fałszywie. Światłami kierowali w sposób dość dowolny: *Alojzy Moik i Kazimierz Lewicki* — niezupełnie usprawiedliwiona była praca reflektorów w niektórych miejscach, tak jak nieusprawiedliwiony był niebieski kolor (pod wpływem świateł) czerwonego, czarodziejskiego kwiatu. Odniosłem wrażenie, że światła grały raczej na efekt niż na nastrój — z tym zastrzeżeniem, że wyciągnięto z nich prawdopodobnie całe osiągalne maksimum. Peruki z pracowni *Tomasza Rzeszutki* „jak żywe" i utrzymane w doskonałym stylu.



Finał sztuki.

Słowo, ruch, dźwięk i barwa — poezja, taniec, pieśń i żywe, zmieniające się wciąż tło — wszystko to splecione harmonijnie w wirującej wizji sennego marzenia wymaga ciasno zazębiającej się współpracy twórców wymienionych elementów — ale pod czujnym, łagodzącym, niwelującym wszelkie przerosty okiem głównego autora inscenizacji. Tutaj każdy wykonał swoje zadanie w miarę swych sił, najlepszej woli, możliwości i — rzecz jasna — talentu. Ale wykonał je na „własną rękę" i dolepił tylko do całości. Dlatego zmieszane z sobą pozornie dobre i naprawdę dobre fragmenty różniły się jak tombak i złoto. Złota było jednak dużo mniej.

* * *

Z przytoczonego na wstępie fragmentu dowiadujemy się, jak Szekspir pojmuje rolę słowa poetyckiego, rozbieganego, skrzącego się blaskiem metafor i skojarzeń lub prostackiego, pełnego kalamburów, błędów, celowych przekręceń i przejęzyczeń. Słowo określa kształt i życie w nim, tego najpierw musi się oblec w ciało, musi być wyrazem poetyckiej wyobraźni. Słowo szekspirowskie musi wypowiadać bardzo wyraźna o charakterze postać. Jeśli tak nie jest — można mówić tylko o sprzeczności z zasadami szekspirowskiego teatru deklamacji.

Katowickie przedstawienie „Snu" było aktorsko bardzo nierówne, w wielu pozycjach zawiodło nadzieje, w innych mile rozczarowało.

Igor Śmiałowski właściwie pojął rolę Oberona — odczłowieczył tę postać, a zarazem nadał jej rysy zdecydowanie bohaterskie, co w połączeniu z wyraźnie mówionym i zabarwionym uczuciowo wierszem świadczy o dużym talencie tego młodego aktora.

Eksperyment obsadzenia trudnej roli Puka bardzo zdolnym, młodym aktorem, *Tadeuszem Łomnickim* — raczej zawiódł. Aktorsko ciekawy, bogaty w inwencję i pomysły był zbyt ciężki, zbyt ludzki — męski. Ruchliwość Puka, pięknie zresztą pokonywana przez Łomnickiego, męczyła go jednak wyraźnie. Gdyby grająca z nim tę rolę (na zmianę) *Maria Kościałkowska* mogła użyczyć mu swej cudownej lekkości i nieuchwytnego chichotu — byłby to Puk doskonały. Kościałkowska zwróciła na siebie uwagę w „Warszawiance" i „Temperamentach", ale odtworzony obecny Puk dopełnił miary szczerego talentu. Brak jej jeszcze (choć to brak nieuchwytny) tego bogactwa środków ekspresji, jakie przynosi z sobą kilkuletnia rutyna sceniczna, lecz brak ten zastąpiony jest inteligentną, celową interpretacją postaci, intuicją w odnalezieniu właściwego tonu i opanowaniem elementarnych zasad sztuki aktorskiej: czystości dykcji i operowania głosem. Puk Kościałkowskiej łączył w sobie wesołą, nieobliczalną złośliwość dobrego duszka i jego poetycką zmysłowość, eteryczność i lekką, rozbieganą wszędobylskość; tyle, że był to duszek nazbyt może dziewczęcy — no, ale nie wymagajmy zbyt wiele.

Każde wejście i sposób posługiwania się gestem Tytanii *(Ludwika Castori)* przypominał mi żywo popularne ostatnio pokazy, czy jak to mówią rewie mód i gdyby nie to, że Tytania oprócz pokazania bardzo efektownego kostiumu ma tam jeszcze coś niecoś powiedzieć...

Wśród elfów uwijała się jeszcze w charakterze Rusałki *Zofia Więcławówna,* budząc żal, że nie dano jej odpowiedzialniejszej roli. Z malutkim epizodem dała sobie radę „śpiewająco" (dosłownie) i zwróciła przychylną uwagę.

Ani *Olga Bielska* nie umiała sobie — niestety — poradzić z rolą Hermii ani *Maria Życzkowska* z rolą Heleny. Pierwsza przekrzyczała całą namiętność, druga nie umiała się zdecydować na wybór charakteru odtwarzanej postaci. Z męskiej pary amantów, choć nieco egzaltowany i niezupełnie szczery raczej przekonywał Lizander (Władysław Sheybal) niż Demetriusz (Olgierd Jacewicz), surowy i mało swobodny.

W szóstce rzemieślników znowu przykra niespodzianka — całkowicie zawiódł *Tadeusz Kondrat,* który poszedł po najłatwiejszej drodze w rysunku charakterystycznej postaci miechownika Dudka i zupełnie nie panował nad głosem. W krotochwili wybrał efekty szarży, co przy niezrozumiale wygłoszonym tekście naprawdę nie licowało z uznanym poziomem aktorskim Kondrata.

Przezabawną grupę stanowili *Kazimierz Lewicki, Jerzy Fitio i Mieczysław Jasiecki,* a już uosobienie komizmu reprezentował Marian Jastrzębski (Pigwa) i *Tadeusz Surowa* (Spodek). Ten ostatni znowu dał ciekawą technicznie i oryginalną postać, z której wydoby dwa akcenty: głupoty i fanfaronady, mniej uwzględniając inne, zwłaszcza gburowatość i nieokrzesanie. Scena Pirama w krotochwili odegrana z rozmachem, a przy tym bezpośrednio i naturalnie postawiła interpretację Surowy w rzędzie udanych osiągnięć aktorskich w sztuce.

Janinie Jabłonowskiej mogę tylko współczuć bezkrwistej rólki Hipolity, w którą włożyła swój kunszt, godny lepszej „sprawy". Tezeusza zagrał z książęcą godnością *Roman Hierowski,* Egeasza — *Marian Bielecki,* a Filostrata *Zbisław Pelc.*

* * *

Starałem się przy omawianiu katowickiej inscenizacji „Snu" zastosować miarę, na jaką zasługuje teatr nie tylko ambitny, ale i dobry. Rzeczywistą miarę porównawczą ustali Festiwal zespołów, dopuszczonych w Warszawie do szlachetnego współzawodnictwa. Wówczas dopiero, przedstawienie, które pozwoliłem sobie ocenić jako *nierówne,* może okazać się lepsze niż sądziłem, albo o wiele gorsze.

Bogdan Butryńczuk

Migawki paryskie

W wagonie było duszno i ciemno. Koła pociągu stukały pod podłogą. Na niektórych stacjach pociąg zatrzymywał się i stał zwykle po parę godzin. Pasażerowie: byli jeńcy, więźniowie lub robotnicy, przywiezieni przez Niemców do pracy w Rzeszy, wychodzili ze swoich wagonów i rozpryskiwali się po stacji, plądrując teren. Rabowali. Niejeden z nich przynosił z takiej wyprawy rower lub aparat fotograficzny. Patrzyłem na to jak na rzecz normalną, choć nie chciałem sam obciążać się zbytnim, jak mi się zdawało bagażem. Wystarczyła mi wolność. Wolność równała się bogactwu, a kojarzyła się w myślach ze spełnieniem tęsknot, które wybudowałem sobie w obozie.

Pamiętam jak jeden z pasażerów znajdujących się w tym samym co ja wagonie zebrał ze zrujnowanych domów kilkanaście płócien wysoko cenionych malarzy i sprzedał je potem podobno w Paryżu za parę milionów franków. Ludzie przystosowywali się do warunków...

W czasie jazdy Francuzi siadali w rozwartych drzwiach i śpiewali. Pociąg mieszał dudnienie swoje z tym wesołym wolnym śpiewem. Mijany świat szumiał zielenią i opierał się o niespokojny wiosenny błękit porozrywany tu i ówdzie obłokami.

Widok pierwszego żołnierza francuskiego wywołał burzę okrzyków i nową pieśń. Potem nastąpiły nieustanne wybuchy radości. Na każdej stacyjce kobiety francuskie przynosiły nam wino, mleko i chleb. Gdzie indziej otrzymaliśmy pierwsze gazety. Roznosiciel podał mi „Humanité". Pamiętam wzruszenie, które mnie ogarnęło, była to bowiem pierwsza legalna, komunistyczna gazeta jaką w życiu widziałem. Świadomość wolności, świadomość, iż jestem w kraju, w którym mogą się z równą śmiałością odzywać komuniści jak i wszystkie inne światopoglądy, świadomość wspólnego poszanowania przekonań objęła moje pojmowanie.

Potem, gdy już stałem się normalnym przechodniem ulic paryskich przykro moje oczy uderzył brud ulic, wśród których walało się pełno papierów i śmieci. W Paryżu wszystko się wyrzuca na ulicę. Kosztów na odpadki nie ma, i nawet w eleganckich lokalach nie ma popielniczek. Popiół wysypuje się na podłogę.

Nie spotykało się też w Polsce przed wojną, aby w wielkiej, eleganckiej kawiarni przy jednym stoliku siedział robotnik, ubrany w robocze ubranie i mający zabrudzoną twarz i ręce, a przy drugim tuż obok profesor uniwersytetu lub dyrektor banku! Otóż we Francji jest to zjawisko tak normalne i codzienne, że przestałem je już po dwu-letnim pobycie spostrzegać. Francja jest krajem deklaracji praw człowieka.

Niewątpliwie książka francuska dzięki wspaniałej tradycji i pięknym wydaniom zajmuje pierwsze miejsce w świecie. Niemniej obecnie książka i w ogóle literatura francuska zajmują raczej pozycję defensywną, bo gdyby nie moda na egzystencjalizm to Francja nie miałaby czego na szeroki świat eksportować. Obecny kryzys książki francuskiej a zwłaszcza powieści jest jednym z naczelnych problemów prasy ostatnich tygodni. I tak René Arcos poświęca temu problemowi artykuł pt. „L'agonie du livre Français". Tak samo jeden z czołowych publicystów socjalistycznych Jean Texcier w jednym z ostatnich numerów Gavroche zajmuje się kryzysem powieści nie tylko we Francji ale i w całej literaturze współczesnej. Zdaniem Texcier powodem kryzysu jest nadmierne poszukiwanie prawdy w literaturze. To poszukiwanie prawdy i rzeczywistości ogranicza inwencję autora i wpływa na wymieranie powieści jako gatunku, a zastępowanie jej przez beletrystyczny reportaż. Podaję to jako przyczynek do naszej dyskusji nad realizmem.

Brak równowagi politycznej we Francji odbija się fatalnie na sytuacji ekonomicznej. Ciągłe niezadowolenie robotników i w związku z tym strajki, przynoszą z jednej strony poprawę bytu tysiącom ludzi, z drugiej strony podważają autorytet państwa i wywołują ogromny deficyt budżetowy. Obecnie zdaje się, że od paru miesięcy prowadzona polityka obniżki cen bierze w łeb, ponieważ właśnie minister finansów zaproponował podwyżkę cen chleba, opłat pocztowych i komunikacji. Kolizja między państwem a człowiekiem przybiera na sile. Francuzi przeżuwając kukurydziany chleb, będący obecnie ich powszednim pożywieniem, niecierpliwią się... a jednak czekają.

Bronisław Kamiński

Wśród czasopism

Odgłosy czeskie pobytu pisarzy słowackich i czeskich w Polsce dochodzą do nas dosyć skąpo. Jeszcze z Czech przedostaje się coś niecoś, ale ze Słowacji już zupełnie nic. Dlatego trudno jest dokonać przeglądu wrażeń, jakich doznali nasi niedawni goście, trudno zebrać ich uwagi i spostrzeżenia. Wiemy tylko, że niezwłocznie po przyjeździe literatów do Pragi odbyła się konferencja prasowa, na której podzielili się oni swoimi spostrzeżeniami z Polski, że następnie mieli być przyjęci na audiencji u Prezydenta Benesza. Wiemy, że na fali niesłyszanej u nas rozgłośni Praga II *dr A. C. Nor* wygłosił cały cykl felietonów na temat swej polskiej podróży, poświęcając je głównie zagadnieniom literackim. Wiemy, że ten sam płodny i ruchliwy pisarz przygotowuje książkę, której tytuł jeszcze u nas ustalił: *„Droga do Polski"*. I wiemy, że wszyscy bawiący w Polsce literaci wyjeżdżali z gęsto zapisanymi notatnikami.

Ostatnio regularnie dochodząca do nas *Tvorba* (tygodnik będący po części odpowiednikiem naszej *Kuźnicy)* przyniosła artykuł *Marii Pujmanovej* pt. *Widziałam Polskę* (nr 28). Autorka artykułu, która była chyba najwytrwalszym członkiem grupy naszych gości i ze stoicyzmem poddawała się wszelkim programom pobytu i zwiedzaniom, przeprowadzała liczne rozmowy i robiła skrzętnie notatki, daje ogólne wrażenia z pobytu w Polsce. Pisze o biologicznym wyniszczeniu narodu, o dewastacji kraju, o tragicznych ruinach Warszawy, o usiłowaniach niemieckich moralnego załamania społeczeństwa, a następnie przechodzi do ukazania Polski walczącej i podnoszącej się z ruin. Boleje nad zniszczoną Warszawą, ale podziw jej budzi ta żyjąca Warszawa, której nie może się nadziwić. „Ludzie! Jak dokonaliście tego cudu? — pyta — Jak tego dokazaliście? Sześć i pół miliona zabitych! Wszystkie średnie i wyższe szkoły pod okupacją niemiecką zamknięte. Nie brak wam ludzi? Skąd wzięliście inżynierów?" Po tych pytaniach pisze o rzeczy, która przejęła ją największym entuzjazmem, o walce z okupantem, wyrażającej się w tajnym nauczaniu, o podziemnym kształceniu inteligencji polskiej do czekających ją po wojnie zadań. Drugą sprawą, która budzi uznanie Pujmanovej jest zaobserwowana przez nią w Polsce decentralizacja życia kulturalnego, rozbicie go na kilka silnych i żywotnych środowisk. Może niezupełnie słusznie upatruję przyczynę tego w psychicznych reliktach dawnych rozbiorowych podziałów. Przy tej okazji wcale trafnie charakteryzuje autorka typ Polaka z poszczególnych dzielnic, przyznając się, że zaimponowali jej i jej kolegom najwięcej Poznaniacy: „są zdyscyplinowani i dokładni — posiadają te cnoty, których nie dostaje innym Polakom". Jest jednak z wielkim uznaniem dla polskiej pracowitości i jej wyników. „Polacy mają rozmach i zapał, którego nam Czechom, mówiąc delikatnie, trochę brakuje. Wiecie, co zauważyłam już w Bułgarii? Czym większymi klęskami dotknięty kraj, tym większy rozmach i większa jest ofiarność, z jaką naród pracuje na jego odbudowę. Czym więcej jest kraj oszczędzony, tym większymi egoistami są ludzie. Jesteśmy trochę za nadto trzeźwi — nie zaszkodziłby nam mały zastrzyk polskiej fantazji. A Polacy znów zazdroszczą nam realizmu". W dalszym ciągu określa Pujmanova różnice genealogiczne demokracji polskiej i czeskiej. Sądzi, że naród polski tyle wieków rządzony przez szlachtę uczy się dopiero tej demokracji, którą naród czeski jako społeczeństwo chłopów, rzemieślników i nauczycieli ma już we krwi i w tradycji. „Jeśli niebezpieczeństwem czeskiego charakteru narodowego jest Szwejk, to niebezpieczeństwem polskiego charakteru nazwać można Don Kichota". Kończy Pujmanova: „Pokochaliśmy polski naród szczerze za jego bohaterstwo i za jego umiłowanie dla sztuki i sądzę, że z tych wzajemnych konkurów mogłoby wyjść szczęśliwe małżeństwo".

Tyle na razie z ech polskiej wizyty czeskich literatów. Warto przy tej okazji podkreślić, że czeska prasa literacka znacznie więcej poświęca uwagi sprawom polskim niż polska czeskim. Te zainteresowania są tam jakoś bardziej systematyczne i mają trwalsze formy. Przydaliby się w Polsce tacy znawcy literatury czeskiej, jakimi są w Czechach w stosunku do polskiej K. Krejci i A. Magr. Prof. Szyjkowski odzywa się z Pragi rzadko i zajmuje się więcej przeszłością niż bliższymi nam zagadnieniami współczesnymi. Przejawem omawianych zainteresowań jest m. in. specjalny zeszyt pięknie wydawanego przez wydawnictwo *Prace* miesięcznika literacko-artystycznego *Kytice* z marca br., poświęcony literaturze polskiej. Zeszyt ten otwiera artykuł *Jana Wiktora — Pozdrówmy się jak bracia*. Poza tym z polskich autorów zabiera jeszcze głos *Stanisław Golachowski*, który informuje o współczesnych kompozytorach polskich. Poezję polską reprezentują przekłady wierszy A. Słonimskiego, J. Przybosia, J. Tuwima, Władysława Broniewskiego, M. Jastruna, L. Staffa, Romana Bratnego, Tadeusza Różewicza, Tadeusza Gajcego i Krzysztofa Baczyńskiego. Proza jest mniej ciekawie dobrana: Putrament, Brandys i Zegadłowicz. Najwięcej zainteresowania u polskiego czytelnika budzą artykuły *Karola Krejciego — Literatura w polskim życiu narodowym* i *A. St. Magra — Z poetyckiej teorii i praktyki* (obszerna rzecz o poezji Juliana Przybosia w świetle jego własnych teoretycznych sformułowań). Krejci stwierdza, że literatura wywiera w Polsce znacznie większy i głębszy wpływ na psychikę i losy narodu niż gdzie indziej, niż m. in. w Czechach. W Czechach w różnych epokach na czoło narodu wysuwają się myśliciele i działacze, w Polsce pisarze i poeci. Literatura wytworzyła podziwiany przez całą Europę typ Polaka bohaterskiego, poświęcającego się dla ojczyzny, bojownika i męczennika walk o wolność, ona heroizowała jego cierpienia. Miało to i swoje złe strony. Polacy pod wpływem swojej poezji zaczęli uprawiać kult bohaterstwa dla samego bohaterstwa, męczeństwa dla męczeństwa miast uczynić jedno i drugie środkiem wiodącym do realnych celów. Nadmierny romantyzm natury polskiej przypisuje autor temu, że mająca ogromny wpływ na społeczeństwo literatura romantyczna stworzona została przez środowisko szlacheckie, nowa literatura polska, wychodząca już z innych warstw narodu jest bardziej bliska realizmowi. Skażonej romantyzmem literaturze przypisuje Krejci fakt, że wytworzyła ona w narodzie atmosferę sprzyjającą Piłsudskiemu i piłsudczyźnie. Dlatego nowa literatura polska musi wyzwolić się spod uroków przeszłości i przygotować grunt pod przyszły zdrowy rozwój narodu. Przeszłość polska ma jednak dość wartości, o które można oprzeć się, by wykształcić nowy typ Polaka wyzwolonego z chorobliwych nawyków dawnych czasów, czasów niewoli i wadliwej struktury społecznej.

Zarówno z artykułu Pujmanovej jak i z uwag Krejcziego wynika jedno: Czesi chcieliby się podzielić z nami swoim realizmem, a od nas chcieliby przeszczepić do siebie szczyptę owego „polskiego romantyzmu", owej fantazji i rozmachu. Byłby to chyba dosyć mądry zabieg. W nim leżałby głębszy sens przyjaźni obydwu narodów. (ki)

Numery specjalne »Zarania Śląskiego«

Wydane w roku 1947, dotychczasowe zeszyty „Zarania Śląskiego" mają charakter numerów specjalnych. Pierwszy, podwójny (1—2) zeszyt tego kwartalnika poświęcony jest w całości omówieniu dorobku kulturalnego ziem śląskich w pierwszym powojennym okresie lat 1945—1946, drugi (oznaczany liczbą 3) zajmuje się się na wszystkich swych kartach postacią i dziełem Józefa Lompy z okazji 150 rocznicy jego urodzin. Oba zeszyty stanowią dzięki bogactwu podanego w ramach swych specjalności materiału nader cenne pozycje.

Zeszyt sprawozdawczy „Śląski" wyróżnia się przy sporym, chociaż niepełnym materiale, szczególnie przejrzystym układem treści. Braków, jakie dają się zauważyć, redakcja sama jest świadoma i tłumaczy się z nich w słowie wstępnym. Nie znajduje odbicia w omawianym numerze działalność domów kultury, świetlic i teatrów ochotniczych, jak również rozwój i praca niektórych wyszczególnionych placówek kulturalnych i artystycznych na Opolszczyźnie i Dolnym Śląsku. Zanim zaczniemy studiować numer, już na wstępie dowiadujemy się tego od redakcji. Powierzchowne jednak przeglądnięcie numeru zwraca naszą uwagę na inny mankament, mianowicie na zupełny brak ilustracji. Przeważająca część artykułów wprost prosi się o zilustrowanie. Może być, że nie pozwoliła na nie już i tak powiększona objętość numeru. W każdym razie — szkoda. Poza tym niektóre artykuły zawierają niezupełne dane i nie wyczerpują tematu, co przy sprawozdawczym charakterze numeru zawsze uchodzi za niedociągnięcie i razi. Rzeczą redakcji było uzupełnić brak albo zwrócić nań uwagę autorowi, by go uzupełnił sam.

Sumiennym opracowaniem i rzeczową analizą wyróżnia się artykuł **Zdzisława Hierowskiego** pt. „Dwa lata pracy pisarzy śląskich". Wobec ogólnego braku obiektywnych i sumiennych krytyków, zwłaszcza na Śląsku, autor artykułu jak zresztą i dwu książek na temat literatury śląskiej, urasta w naszych regionalnych warunkach na jedynego, budzącego zaufanie krytyka. Orientowanie się należyte w piśmiennictwie śląskim, dawnym i współczesnym, wymaga dość dużego zasobu wiedzy i specjalizacji, a poza tym nie przytępionej żadną tendencją ostrości krytycznego patrzenia. Właściwości te H. w miarę posiadł.

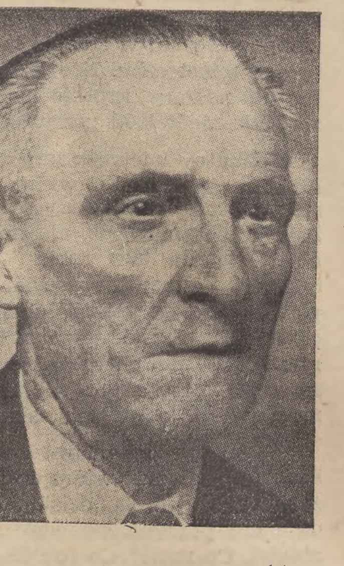
Rzetelnego na ogół i dość wyczerpującego opracowania doczekały się sprawy szkolnictwa i oświaty na Śląsku. Ośmiu autorów porusza je w ośmiu artykułach. Mało tutaj zastanawiania się nad problemami szkolnictwa i oświaty, nad którymi szeroko już dyskutowano, więcej natomiast — i słusznie — danych statystycznych i bilansu wysiłków.

W osobnym dziale zatytułowanym „Kronika", po sprawozdaniach z działalności Instytutu Śl. i Wojewódzkiej Rady Kultury następują omówienia sezonów w teatrach Górnego i Dolnego Śląska oraz Zagłębia (za wyjątkiem sezonu w Teatrze Ziemi Opolskiej). Tutaj uwagę zwraca solidne, jakkolwiek zbyt drobnostkowe sprawozdanie z działalności teatru katowickiego **Mieczysława Markowskiego.** (Tu szczególnie przydałyby się ilustracje). Dalsze omówienia dotyczą życia muzycznego i plastyki, w obu wypadkach niepełne. O Śląskiej Bibliotece Publicznej w Katowicach pisze **Franciszek Szymiczek,** o muzeach w woj. śląsko-dąbrowskim **Jerzy Hutka.** Czasopisma śląskie omawia **St. Kasztelowicz.** To opracowanie wykazuje b. duże braki. Jakkolwiek „Odrze" poświęcono w nim dużo miejsca, to ani słówkiem nie wspomniano np. o „Zaraniu Śląskim". Czy może przez skromność, że artykuł ukazał się w „Zaraniu"? Pominięto pozatym wydawany przez Zw. Wet. Powst. Śl. tygodnik „Ogniwa" i pismo Związku Górników „Górnik". Obowiązek sprawozdawcy wymagałby również choćby tylko wyszczególnienia wydawnictw efemerycznych jak „Czynu Młodych", „Jutra", a nawet „Nowego Świata Przygód".

Zamyka numer „Bibliografia Śląska" za lata 1945—1946, opracowana przez **Ludwika Brożka.** I tutaj daje się zauważyć mnóstwo braków, co więcej: cechuje ją duża przypadkowość, niemniej jednak trud, włożony w tę pracę, zasługuje na szczególne uznanie. Na jej podstawie czytelne jest całe bogactwo spraw śląskich.

Bardzo ciekawie przedstawia się numer następny, poświęcony Lompie, w przeciwieństwie do poprzedniego bogato zilustrowany. Otwierają go dwie rzeczy bardzo literackie, ogromnie przyjemne w czytaniu: **Gustawa Morcinka** „Zafrasowany Lompa" i **Wilhelma Szewczyka** „Odwiedziny u Lompy". Artykuł **Zdzisława Hierowskiego** pt. „Pisarstwo ludowe Lompy" przynosi rzeczową ocenę pism literackich Lompy, wyznacza właściwe, choć niezbyt poczesne miejsce jego ubogim wierszom i uwypukla znaczenie tego „lubszackiego pana szkolnego i organisty". O Lompie jako nauczycielu i oświatowcu pisze **Janina Ender,** o jego pismach historycznych **Jerzy Hutka.** W „Materiałach" znajdujemy trzy relacje biograficzne, nieznane wiersze i kilka fragmentów z prac dziennikarskich Lompy. **St. Kasztelowicz** pisze o „Dziejach sławy Lompy", **Ludwik Brożek** o jego portretach oraz o jego stosunku do „Gwiazdki Cieszyńskiej" i pszczyńskiego „Tygodnika Polskiego"; **Aleksander Widera** kreśli sylwetkę Lompy jako słowianofila. Numer ten zamyka, podobnie jak poprzedni, bibliografia opracowana przez tego samego Brożka. **(aw)**

Zgon czeskiego poety



Prawie po dopisaniu notatki o ostatnim wierszu S. K. Neumanna, jaki pojawił się na łamach praskiej „Tvorby" nadeszła wiadomość, że poeta S. K. Neumann, odznaczony nie tak dawno czeskim honorowym tytułem państwowym „narodowego artysty", zmarł nagle w Pradze. Po śmierci Józefa Hory, odchodzi do grobu drugi poeta czeski.

S. K. Neumann to poeta politycznej walki, walki o nowy układ sił społecznych Czechosłowacji. Najlepiej bodaj charakteryzuje zmarłego ostatnio poetę czeski pisarz Jarosław Janu, kiedy o nim mówi:

„S. K. Neumann to pisarz, który wniósł w nasze życie polityczne a także w program lewicy mnóstwo wysoce wartościowych pożywek; który z wyznaczonego programu zdjął odium negacji i przez podbudowę dobrego fundamentu unowocześnił go w spektrum ludzkim, aby wspaniale obronić a zarazem żywiołową glorią opasać barwę socjalizmu, pojmowanego jako ideę rewolucyjno-moralnego podźwignięcia nowego świata. Nie było to płonnym gestem, że Neumann — Jubilat, w pierwszych tygodniach po zeszłorocznym zwycięstwie, honorowany był jako patriarcha, który dożył swojej naprawdę swojej zniszczonej Katarginy. Jego duchowa siła, niesłabnąca nigdy jego wiara i uczciwość w kroczeniu do wytkniętej raz drodze były z tych, które przez dziesiątki lat niby latarnia morska rozjaśniały mroki przyszłych dni".

A samym wyznaniem poety było: „po świecie chodzę, między ludźmi żyję, znam wszystkie swoje ich słabości, dlatego też kocham bój pozytywny, tak jak i pozytywną radość".

S. K. Neumann urodzony 5 czerwca 1875 roku w Pradze, pochodził z bogatej rodziny mieszczańskiej. Lecz pochodzenie nie przeszkadzało poecie, który już od młodych lat brał udział w czeskim ruchu narodowo-klasowym. Nic więc dziwnego, że w 18 roku życia autor „Księgi lasów, wód i ustroni" zostaje skazany za udział w antyaustriackiej organizacji czeskiej, „Omladzinie" na 14 miesięcy ciężkiego więzienia „na Borach" (popularna nazwa znanego więzienia w Czechach). Pobyt w więzieniu jeszcze bardziej pogłębia skłonność poety w kierunku anarchizmu, będącego w owych czasach modnym kierunkiem walki przeciwko monarsze z Wiednia. Te wszystkie przeżycia doskonale odzwierciedliły się w jego poezji, że przypomnimy tylko takie zbiórki jak: „Jestem Apostołem nowego życia", „Apostrofy harde i namiętne" czy też książkę głoszącą credo nihilizmu „Szatanowa sława jest wśród nas". Z marazmu własnych szargań wychodzi jednak poeta bardziej zrównoważony, o jaśniejszym spojrzeniu na świat, co widać już w wydanym w 1903 r. „Śnie o zastępie wątpiących". Następne zbiory wierszy to: „Nowe śpiewy" (1918), „Czerwone śpiewy" (1923), „Serce i chmury" (1935), „Starzy robotnicy" (1936) i „Sonata horyzontalnego życia" (1937).

Prócz wierszy S. K. Neumann jest także autorem utworów prozatorskich, wspomnień wojennych, notatek podróżniczych, monografiii. Najlepszym jego dziełem wydaje się być książka, która ukazała się na kilka tygodni przed śmiercią p. t. „Zanurzone lata" (1947) z tym prostym, wymownym jakby pożegnaniem:

„lotu w obłoki i lotu na niwy,
lotu w wysokość i lotu w dalekość"...

A zmarły czeski poeta S. K. Neumann, to także dziennikarz, krytyk, a zarazem redaktor szeregu pism literackich jak „Nowy kult", Kmen" „Proletkult", czy „Lewa Fronta".

Jeśli Związek Radziecki posiadał swego Majakowskiego, to naród czeski w tych dniach pożegnał się ze swym czeskim Majakowskim — poetą Neumannem, członkiem centralnego komitetu wykonawczego czeskosłowackiej partii komunistycznej. *ar.*

Jubileusz Tomasza Rzeszutki



Publiczność teatralna darzy hojnie swymi względami aktorów, interesuje się reżyserami, wywołuje w antraktach dekoratora, ale przeważnie zapomina o tych pracownikach, którzy nigdy (chyba z okazji jubileuszu) nie wychodzą zza kulis. Tymczasem jest to nie tylko przeoczenie, ale — powiedziałbym — ignorancja. Bo weźmy takiego mistrza charakteryzacji jak obecny kierownik pracowni perukarskiej w Państwowym Teatrze Śląskim Tomasz Rzeszutko.

Opowiadają np., że gdyby w pewnej (znanej zresztą) inscenizacji komedii Szekspira „Miarka za miarkę" pan Tomasz nie dał pewnemu aktorowi rudej brody do jego czarnych włosów — nie byłoby się z czego śmiać. Ale też Rzeszutko jest mistrzem nielada i to w skali nie tylko polskiej a europejskiej. On pierwszy zrozumiał, że dobrej peruki nikt nie powinien odróżnić od naturalnej czupryny; można więc (w tym miejscu muszę się uśmiechnąć) nazwać go twórcą realizmu w swoim kunszcie.

Bieżący sezon Państwowego Teatru Śląskiego kończy się jubileuszem 50-lecia pracy teatralnej Tomasza Rzeszutki, który — mówiąc nawiasem — na tak poważny jubileusz zupełnie nie wygląda. No, ale z charakteryzatorem to nigdy nic nie wiadomo: na pewno nosi perukę własnej roboty.

Kariera Rzeszutki jest również pełna zasługi co błyskotliwa. Rozpoczął ją naprawdę, po latach nauki, dopiero w lwowskim teatrze kierowanym przez Pawlikowskiego w 1900 roku. Od tego czasu pozostał już we Lwowie — mimo nęcących propozycji ze strony teatrów warszawskich i krakowskich. W 1903 roku wyjechał na studia do Wiednia — później z zespołem lwowskim do Kijowa, Wiednia i Paryża. Jego kreacje charakteryzacyjne zwróciły uwagę teatrologów, a ponieważ dobry śpiewak, podobno powinien być łysy — dostaje zamówienia na peruki nawet od śpiewaków Metropolitan Opery w Nowym Jorku.

Przed dwoma laty przybył wraz z obecnym zespołem Teatru Śląskiego ze Lwowa i osiadł w Katowicach.

Brutus

Tydzień Szczecina

15. 6. — 31. 6.

TEATR:

19. 6. wystawił Teatr Mały farsę T. Brandona „Ciotka Karola". Reżyserował Czabanowski R. Obsadę aktorską stworzyli m. in.: Sułkowski, Zieliński, Karska, Gozdecka, Rajkowska, Czabanowski i inni.

29. 6. wystawił teatrzyk kukiełkowy „Czarodziej" uscenizowaną bajkę M. Kownackiej „Cztery mile za piec".

24. 6. odbyła się premiera znanej sztuki J.. Szaniawskiego „Dwa teatry. Reżyseria Zdz. Karczewskiego, dekoracje Bałakirewa. Udział wzięli: Michna, Czosnowska. Zdz. Karczewski, Wł. Jabłoński, J. Daszewski, Z. Stanisławska, E. Więckowska, K. Zbyszewski, R. Małkowski, Zdz. Zarembianka, W. Wesołowski i inni.

NAUKA:

15. 6. w sali konferencyjnej Miejskiej Rady Narodowej F. Wojciechowski wygłosił odczyt pt. „Bazy obronne ujścia Odry".

25. 6. nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu na najlepszą pracę młodzieży szkół średnich m. Szczecina na temat „Mój Szczecin". Z nadesłanych 25 prac sąd przyznał 3 nagrody za najlepsze prace oraz kilka prac wyróżnił. Konkurs zorganizował Szczeciński Inspektorat Kulturalno - Oświatowy „Czytelnika".

— Towarzystwo Geograficzne w Szczecinie wydało z okazji „Święta Morza" broszurę pt. „Szczecin — miasto — port — okolice".

PLASTYKA:

29. 6. nastąpiło uroczyste otwarcie wielkiej „Wystawy obrazów i grafiki Wybrzeża i Ziem Odzyskanych" pod protektoratem Ministra Kultury i Sztuki. Wystawa obejmuje około 150 prac malarskich i graficznych, nadesłanych przez artystów Wybrzeża oraz Ziem Odzyskanych. W wystawie wzięli udział: Bielska-Tworkowska, Karniej H., Kononowicz Z., Łada-Studnicka, Malicki A., Niewiesiewicz L., Podsadecki K., Powidzka K., Powidzki J., Tomaszewski M., Lam W., Michałowski, Preyzner S. Suchanek A., Wnukowa J., Wodyński J., Borysowski S., Cygańska-Walicka, Geppert E., Goldberg H., Janusiewicz S., Jasińska-Żuławska, Marczyński A., Pochwalski S., Studnicki J., Szwacz B. i inni. Wystawa mieści się w gmachu Muzeum Miejskiego .

RÓŻNE:

29. 6. nastąpiło otwarcie „Wystawy wzorów wytwórczości Pomorza Zachodniego". W wystawie wzięli udział przemysłowcy i kupcy 3-ch sektorów gospodarczych Pomorza Zachodniego. Uroczystości otwarcia wystawy dokonali najwyżsi dostojnicy państwowi i przedstawiciele władz miejscowych.

— W czerwcu zorganizowana została delegatura Instytutu Filmowego. Instytut jest wydziałem „Filmu Polskiego" i ma za zadanie produkcję i eksploatację filmów oświatowych z dziedziny biologii, geografii, przemysłu, historii.

29. 6. Rozgłośnia Szczecińska przeżyła niecodzienną emocję wejścia na falę ogólnopolską. Po ostatecznym uzyskaniu połączenia kablowego z Warszawą nadane zostały ze studia Polskiego Radia w Szczecinie pierwsze audycje szczecińskie na falę ogólnopolską.

— W czerwcu wysłana została do Warszawy kopia słynnego posągu Bartolomeo Colleoniego, znajdująca się dotychczas w Muzeum Morskim w Szczecinie. Pomnik ten ma stanąć przed gmachem Muzeum Narodowego przy ul. 3 Maja w Warszawie. Jest on kopią słynnej rzeźby weneckiej z końca XV wieku. Wykonano tylko dwie kopie tego dzieła Andrea Verrocio. Jedną dla Ameryki, drugą dla Szczecina.

Kronika czesko-słowacka

Muzeum braci Czapków

W miejscowości Swatoniowice nastąpiło uroczyste otwarcie muzeum braci Czapków. Swatoniowice są miejscem rodzinnym obydwu czeskich pisarzy — Karola oraz Józefa Czapka, który ciesząc się mniejszą sławą literacką od swego brata, był zarazem wybitnym malarzem i zginął w jednym z niemieckich obozów koncentracyjnych.

Nowy utwór Piotra Karwasza

Słowacki teatr narodowy w Bratysławie wystawił w tych dniach komedię młodego pisarza słowackiego Piotra Karwasza pt. „Hanibal przed bramami". Komedia ta nie wniosła prawie żadnych nowych wartości w twórczość literacką autora głośnego dramatu: „Meteor". Sama technika pisarska, jak dowodzą recenzenci, przypomina „chwyty" zastosowane przez słowackiego autora Stodolę w jego grotesce, o której już w naszej kronice wspominaliśmy.

Czasopisma językoznawcze i dokumentarne

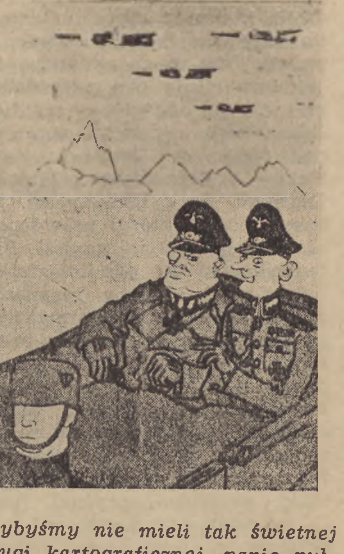
W nakładzie lingwinistycznego koła w Pradze, wyszedł pierwszy numer czasopisma „Slovo a slovesnost", poświęconego na wzór naszego „Języka Polskiego" — czeskim sprawom językowym. Czasopismo to wychodziło już dawniej, obecnie zostało wznowione.

Na uwagę zasługuje także ukazanie się podwójnego numeru (za lata 1944—1946, rocznik 66) „Czasopisu Matice morawske" Obszerny i bogaty numer wypełniony jest tym razem wyłącznie pracami krytycznymi z zakresu literatury, sztuki, polityki i archeologii. Polskich uczonych i bibliografów zainteresuje tutaj praca Florkovskeho: „O czeskich jezuitach na Rusi" oraz zestawienie publikacyj jubileuszowych o Jerzym Trzanowskim z Cieszyńskiego (1937—39), którego nazwisko jest nadużywane przez pewne ugrupowania czeskie bezpodstawnie do celów propagandowych. Podano także tutaj wykaz nazwisk uczonych morawskich, którzy zginęli w czasie wojny. *Av.*

Z niedalekiej przeszłości



„Co chciałbym wiedzieć, to to: dlaczego my tu jesteśmy tak niepopularni?"



„Gdybyśmy nie mieli tak świetnej obsługi kartograficznej, panie pułkowniku, mogłoby nam się przytrafić, że ten sam kraj oswobodzimy dwakroć tego samego dnia."



„Hermanie! Ileż to razy mówiłem ci już, że Szkocji nie możemy oswobodzić przed jesienią 44."

Krótkie spięcia

Apel na czasie

Od niejakiego czasu pojawiają się w prasie za pośrednictwem PAPa, czy po prostu tak z własnej inicjatywy, na przykład tego rodzaju wiadomości:

„W Sopocie (Świnoujściu, Krynicy, Ciechocinku, Solicach, Karpaczu itd. itd.) bawią obecnie w sezonie letnim literaci: Bzdyś, Piekutkowska, Tyracz, Migdałowicz, Kałabania, Pigwaś, Cynaderkiewiczówna, Ochlaj. Znakomici pisarze korzystają z zasłużonego wypoczynku, ciesząc się pięknem przyrody i przygotowując się do dalszej owocnej działalności na niwie literackiej."

Punkt, kropka.

Niestety, nie jest przy tym podane, czy Bzdyś podziwia zachody słońca, czy Piekutkowska ma katar, czy Tyracz lubi ciastka z kremem, czy Migdałowicz chętnie wygląda przez okno, czy Kałabania nosi się z poważnymi zamiarami, czy Pigwaś dostaje wysypki po zjedzeniu raków, czy Cynaderkiewiczówna pasjonuje się Apassionatą i czy Ochlaj tworzy podwójny cykl, inaczej tzw. bicykl.

W pismach literackich pojawiają się natomiast furami anegdotki z życia, dajmy na to, Fidybusa, Bimbalskiej, Napieja, Rypałkiewicza, Majoneza, Czerwiowej, Kupścia i wielu innych, na temat, jak to Fidybus raz się wyraził o egzystancjaliźmie, co Bimbalska powiedziała Napiejowi o Rypałkiewiczu, jak się Majonez zapatruje na przypływ i odpływ morza, kiedy Czerwiowa po raz pierwszy odkryła prawo przyczynowości w stosunku do echinodermatów, oraz co Kupść zrobił, gdy mu oświadczono, iż pirandelizm się przeżył.

Rzecz prosta, że ta zabawa w „Societe Litteraire de l'Adoration Mutuelle", czyli w Towarzystwo Literackie Wzajemnej Adoracji, nie polega tylko na tym. Prócz tego bowiem Gibas stale pisze o Kichalskim, a Kichalski stale o Gibasie, Zbytko wyraża się w superlatywach, a nawet superlewatywach, o Pindziance, zaś Pindzianka o Zbytce, Gnidowicz nie pomija żadnej okazji, by nie wyrazić swego zachwytu w sprawie twórczości Antrykota, a Antrykot w regularnych odstępach czasu odwdzięcza się w ten sam sposób Gnidowiczowi.

Poza tym cytuje się jeszcze w tygodnikach i miesięcznikach „bons mots", wypowiadane przez takie czy inne znakomitości. Wynika więc z owych „bons mots" ewidentnie, jak szalenie dowcipnym człowiekiem jest na ten przykład Kutasiński, jak zjadliwym potrafi być, o ile tylko zechce, Bryzol, zaś Winegretówna — to ho, ho — potrafi zapędzić w kozi róg nawet samego Tristana Bernarda.

I tak sobie ta zabawka trwa i trwa.

Otóż czcigodne Panie i czcigodni Panowie!

Wiadomo, że powojenna literatura polska bardzo odmłodniała. Wiadomo, że do głosu doszło wielu pisarzy, którzy przed wojną zaczynali dopiero ząbkować. Wiadomo też, że w tej naszej literaturze, jak w każdej zresztą innej, są tacy, co dobrze piszą, i są również i tacy, co piszą źle, czyli po prostu są jedni tacy, co piszą ręką, i są jedni tacy, co piszą nogą.

No ale to wszystko jeszcze nas nie upoważnia, by z całej owej society robić zaraz Olimp i dąć w dentologię na wszelkie możliwe sposoby.

Cóż bowiem z tego, że ludzie przeczytają, iż Antrykot bawi w Dusznikach, gdzie osiąga wartości formalne? I cóż z tego, jeżeli poda się do wiadomości publicznej, że Rypas poszedł na wódkę z Gibasem? A także coż z tego, kiedy się dowiemy, że Indorowicz powiedział do Kutasińskiego (o ile naprawdę powiedział: „Katastrofizm, proszę pana, to lipa"?

Nic z tego!

Więc w takim razie, proszę Pań i Panów, przestańcie już z tą reklamką, z tą olimpowatością, z tą wzajemną adoracją, z tym całym rymcymcyństwem, z tym tworzeniem malowniczej grupy, z owym archontowstwem, demiurgowatością i kapliczkowaniem od siedmiu boleści!

Prawdę powiedziawszy przecież olbrzymiej większości z Was jest jeszcze bardzo daleko do tego, aby pisano o Was anegdotki, wspominano Wasze rzekome „bons mots" i reklamowano jako fakt najwyższej wagi okoliczność pobytu Pani czy Pana w Świnoujściu lub w Zwardoniu.

Albowiem, jak już powiedział pewien znakomity poeta: Nie ma sensu — robić do kredensu!

Niejaki X.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 14412